CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 20 GR.

ROK XXII

ŚWIAT

№ 47

WARSZAWA, DNIA 19-go LISTOPADA 1927 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

U SCHYŁKU KADENCJI

W tych dniach upływa pięcioletni okres, na jaki wybrane zostały Sejm i Senat. Pięć lat w dziejach narodu jest krótką chwilą; ale ostatnie pięciolecie stanowi przeszło połowę niepodległego bytu naszego. Dlatego pierwsza kadencja parlamentarna polska ma tak doniosłe znaczenie.

W końcowym rachunku przynosi ona poważne minusy. Sejm schodzi do grobu bez zasług i bez honorów. Jeśli nie towarzyszą mu złorzeczenia, to tylko dlatego, że w ostatniej przedzgonnej fazie doznał wiele goryczy i upokorzeń, chciałoby się więc po chrześcijańsku zapomnieć mu i odpuścić grzechy całego żywota. Chciałoby się wielki krzyż na wszystkiem położyć. A jednak nie wolno — w imię nauki i przestrogi na przyszłość.

Sięgając do źródła wszystkich pośliznięć sejmowych — w okresie jego wszechwładzy i w okresie jego upadku — jedno widzimy wytłumaczenie: niski poziom składu osobowego. I jeśli pod tym względem nie nastąpi poprawa — czekają nas dalsze niepowodzenia i katastrofy. Nie takie czy inne zabarwienie polityczne ocalić może nasz parlamentaryzm; uratuje go jedynie wyższy stopień kulturalny posłów — bez względu na przynależność partyjną.

Cóż bowiem zdyskredytowało Sejm w opinji publicznej, jeśli nie fakt, że na ławach jego — poza kilkoma uzdolnionymi przywódcami — zasiadły figury mierne, szare, pozbawione indywidualności i zupełnie nieprzygotowane do pracy ustawodawczej. Wystarczyłoby przepisać z listy posłów czterysta nazwisk, ażeby to udowodnić. Nie znalazło się w Sejmie miejsca dla luminarzy naszej nauki prawniczej i historycznej, ani dla zasłużonych działaczy społecznych i kulturalnych z czasów zaborczych, ani dla wyrobionych polityków, którzy zajmowali już w Polsce niepodległej stanowiska premjerów, ministrów i podsekretarzy stanu. Kucharzewski, Steczkowski, Świeżyński, Paderewski, Skulski, Ponikowski, Władysław Grabski, Aleksander Skrzyński — ludzie, którzy sterowali nawą państwową, politycy rasowi i zasłużeni, nie mogli uzyskać mandatu do Sejmu. Wypełnili go natomiast różni pół i ćwierćinteligenci bez określonego zajęcia i jakiego takiego przygotowania.

Ciekawą rzeczą jest przejrzenie życiorysów posłów sejmowych, a zwłaszcza danych, dotyczących ich zawodu. Na całym świecie w parlamentach dominują prawnicy; nieraz uskarżano się nawet na ich nadmiar. U nas zasiadało ich wszystkiego 35, i to dzięki temu, że 11 dostarczyło Koło Żydowskie. Natomiast dziennikarzy i publicystów było 50, nauczycieli 56, rolników 75. Wszystko to są fachy, których kwalifikacji sprawdzić nie sposób, łatwo bowiem można tytułować się redaktorem i profesorem, napisawszy korespondencyjkę, czy wygłosiwszy odczyt dla analfabetów. Jeśli nawet trafił się w Sejmie jakiś prawnik, to nie był nim Bobrzyński, Bukowiecki, W. L. Jaworski, St. Starzyński, M. Roztworowski, Parczewski czy Makowski, lecz sędzia powiatowy z Bochni, lub aplikant adwokacki z Grodziska. Ci

stali się faktycznymi ustawodawcami w Polsce, imponującymi wiedzą prawniczą niedoszłym aptekarzom, nieukończonym technikom i relegowanym klerykom.

Cóż zatem dziwnego, że przeciętny poseł więcej czasu poświęcał agitacji w okręgu, niż pracy w komisjach, bardziej interesował się sprawą swego kumotra czy znajomka, niż zagadnieniami polityki zagranicznej czy skarbowej, usilniej zabiegał o kredyty dla swej okolicy, niż o dobro państwa całego. Interes państwowy był dla niego niezrozumiałą abstrakcją, sprawa własna lub sąsiada — konkretnym celem, godnym wysiłków.

Największa doniedawna plaga naszej administracji — nieustanne osobiste interwencje poselskie w biurach rządowych — od ministerstw począwszy aż do starostwa — były wynikiem zupełnego nieorjentowania się posłów w prawach swoich i obowiązkach. Wysoką godność przedstawiciela narodowego sprowadzili do roli „chadataja po dielam". Naprzykrzali się ministrom, teroryzowali dyrektorów departamentu, trafiali do referentów, ale najbardziej dali się we znaki starostom w swoim okręgu, gdzie stawali się drugą władzą.

Wszędzie byli czynni, tylko nie w parlamencie. Tutaj bywali najrzadziej i najmniejszy brali udział w pracach. Przebywanie na sali podczas głosowań i podnoszenie rąk na komendę wydawało się im dostateczną działalnością prawodawczą. Cały zresztą nasz mechanizm parlamentarny: organizacja i dyscyplina klubowa, rozkład zajęć w Sejmie, sposób odbywania czytań projektów ustawowych, system dopuszczania do głosu na plenum — przystosowane były do wygody posłów, spędzających przeważnie czas poza siedzibą parlamentu. Nie było żadnej podniety — ani moralnej, ani materjalnej do utrzymania ich w gmachu przy ul. Wiejskiej. Nawet diety, mające stanowić rekompensatę za faktyczne spełnianie mandatu poselskiego, przekształciły się w stałą pensję miesięczną, pobieraną tak samo za próżnowanie, jak i za pracę.

Takie stosunki demoralizowały posłów i obniżały ich powagę; w tym samym kierunku działała dziwna pobłażliwość władz sejmowych wobec awanturujących się na sali parlamentarzystów. Nieraz odnosiło się wrażenie, że stosowane kary regulaminowe nietyle zależą od stopnia przewinienia, co od siły liczebnej klubu, do którego winowajca należy i od aktualnej konstelacji politycznej.

Najgorzej jednak przedstawiało się autonomiczne sądownictwo sejmowe. W żadnej sprawie sąd marszałkowski czy honorowy nie wydał potępiającego wyroku, nikogo nie pozbawiono mandatu ze względów moralnych, choć zaprawdę nie brakowało do tego okazji. Wyrobiła się opinja, że całe urządzenie własnego wymiaru sprawiedliwości miało na celu uchylenie się od sądów państwowych i tuszowanie wzajemne przewinień. Przysłowie o kruku i oku znajdowało tu w pełni zastosowanie.

Aż nadszedł przełom majowy i odrazu odwróciła się sytuacja polityczna parlamentu. Ale natura większości posłów nie zmieniła się. Tylko braki kultury i charakteru znalazły inny wyraz. Zamiast zachłanności zrodziła się uległość, zamiast buty — potulność. Nazajutrz po policzkującej posłów mowie marszałka Piłsudskiego —wybrano go na najwyższe w państwie stanowisko; bez szemrania uchwalono rządowi pełnomocnictwa, których się domagał; pozwolono sobie odebrać prawo interpelacji; zgodzono się na danie rządowi budżetu bez wysłuchania jego programu; chowano pod sukno wnioski, wyrażające votum nieufności, korzystając skwapliwie z przepisu, nie pozwalającego na głosowanie ich na tem samem posiedzeniu, na którem zostały zgłoszone; odsuwano możliwie najdalej termin posiedzeń, których pozornie żądano dla porachowania się z rządem; kunsztownie układano porządki dzienne, aby do drażliwych punktów nie doszło; puszczano mimo uszu świadome zniewagi; słowem, zachowywano się bez godności i nie próbowano nawet bronić prerogatyw, przysługujących parlamentowi. W tych warunkach rząd nie krępował się z odraczaniem oraz zamykaniem sesji, usuwał bezwolny Sejm, który mu wprawdzie nie ośmielił się przeszkadzać, ale też w niczem nie był pomocny. Nie chciał go jednak rozwiązać przed terminem, aby zyskać na czasie: mógł w ten sposób sprawować pełnię władzy bez wyraźnego obrażania litery konstytucji. Formalnie więc przestrzegano przepisów i terminów, pomagano sobie dalekoidącą interpretacją, co przy niedbale zredagowanym tekście konstytucji nie było trudne, dzięki posiadanym pełnomocnictwom obywano sie bez Izb prawodawczych.

Teraz nadchodzi koniec tego okresu; naturalna śmierć Sejmu i Senatu wskutek wygaśnięcia mandatów wywoła konieczność wyborów nowych ciał prawodawczych. Jeśli zechcą one zrehabilitować parlamentaryzm w oczach społeczeństwa i odzyskać te prawa, które utracił wskutek nieudolności poprzednik, muszą mieć w swym składzie więcej ludzi inteligentnych, doświadczonych, obdarzonych mocą charakteru i odwagą cywilną.

Nie proklamujemy bynajmniej zasady, że żaden poseł z Sejmu obecnego nie powinien się dostać do następnego. Hasło takie, czysto demagogiczne, uważamy za bezsensowne. Przeciwnie, chodzi nam, aby te pół setki istotnie prawdziwych parlamentarzystów, którzy dotychczas dźwigali na sobie cały ogrom pracy prawodawczej, a jednocześnie ponosili smutne konsekwencje fatalnego postępowania dziesięciokrotnie liczniejszych kolegów, niedorastających do mandatu poselskiego, aby te pół setki zapłodniło nowe ciała prawodawcze i rozrosło się do rozmiarów znacznej większości.

Może to nastąpić, jeśli stronnictwa i bloki wyborcze postawią na czele list swoich ludzi o wysokiej kulturze politycznej i moralnej. Bez inteligencji najwyższe instytucje państwowe obyć się nie mogą. Świadczy o tem najlepiej tragiczny los dogorywającego Sejmu.

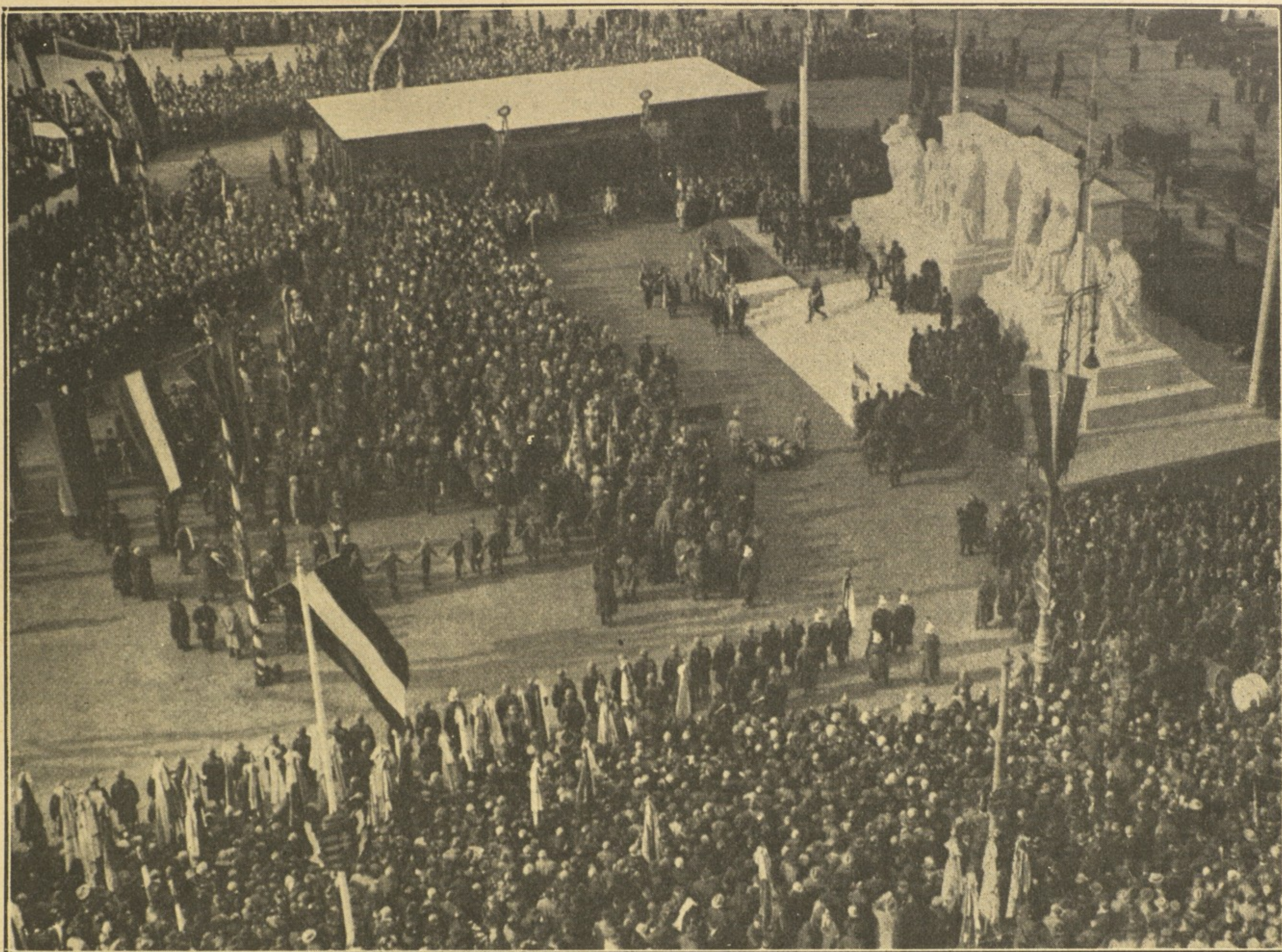
W. Giełżyński

SZEFOWIE NASZEJ ARMJI



Gen. Tadeusz Piskor, szef sztabu generalnego, zasłużony oficer legjonowy, kawaler licznych orderów

UROCZYSTE ODSŁONIĘCIE POMNIKA LUDWIKA KOSSUTHA W BUDAPESZCIE



Na placu przed parlamentem węgierskim w dniu 6 b. m. uroczyście odsłonięto pomnik Ludwika Kossutha, znakomitego polityka, przywódcy narodu węgierskiego w walkach o Niepodległość, wielkiego przyjaciela Polski. Uroczystość ta zgromadziła olbrzymie zastępy wszystkich sfer społecznych Węgier. Złożono dwa tysiące wieńców. U podnóża pomnika spotkały się reprezentacje: amerykańska, angielska, włoska i polska. Był to hołd, złożony wierności Kossutha dla ideałów demokracji i wolności. Pomnik ten jest dziełem rzeźbiarza węgierskiego Horray.

Z TYGODNIA

Nagle przyszła zima, i w brzydki niedzielny dzień, smagany przez śnieg i deszcz, rozpoczął się „sezon". Do kata, co za tempo! Wprost zdumiewające! W naszem obecnem życiu jest świeżość rozmachu, która imponuje. Rzućcie tylko okiem na program tej pierwszej niedzieli zimowej. W Politechnice otwarcie nowego roku akademickiego. Uroczyste wręczenie dyplomu głośnemu uczonemu, prof. Keesomowi. W Ratuszu Zjazd więźniów ideowych (1914 — 21). Blisko 2000 uczestników, wśród nich wysocy dostojnicy Rzeczypospolitej. W nowym gmachu kolejarzy równoczesny — choć na znacznie mniejszą skalę,—zjazd b. więźniów politycznych. W gmachu Szkoły Hygieny obrady VII Polskiego Kongresu przeciwalkoholicznego. Wieczorem w sali Rady Miejskiej raut, wydany dla członków tego Kongresu. W sali Tow. Hygienicznego wiec pracowników umysłowych w sprawie ubezpieczeń społecznych. W auli Uniwersytetu Kongres dawnych i obecnych działaczy na terenie akademickim. Kwiat inteligencji polskiej! Wysoce interesujące obrady nad stosunkiem starszego pokolenia do młodzieży akademickiej, organizacja pomocy. Na Żoliborzu poświęcenie kamienia węgielnego pod budowę osiedla dziennikarskiego. Przy ul. Górnośląskiej poświęcenie świeżo wykończonego domu akademiczek. Jeszcze obrady przedstawicieli przedmieść. Wiec w sprawie liczników telefonicznych. Na wszystkich ważniejszych z pośród tych zebrań obecny był Prezydent Rzeczypospolitej, wysocy dostojnicy państwowi! Któż powie, że w żyłach naszej społeczności nie płynie krew „bardzo czerwona"? Temperament polski ma swoje braki. Przedewszystkiem: nadmierną niecierpliwość, brak wytrwałości. Ale za to posiada rozpęd fenomenalny. Jakiś instynkt wewnętrzny pcha gorączkowo do pracy. Trzeba odrabiać to, co w czasie niewoli zostało odłogiem, trzeba gonić Zachód, organizować się, porządkować. Państwo — to ścianki naczynia, które naród musi wypełniać własną treścią. Jakaż radość, gdy się wsłuchiwać w ten wzmożony, coraz potężniejszy pęd życia we wszystkich dziedzinach, na wszystkich polach. Energja, z zapału zrodzona, dokazuje cudów. A może-ż być piękniejszy cud, jak — cud pracy?.

skrz.

ZAGADNIENIA

CO TO JEST NARÓD?

Przed przystąpieniem do aktualnych zagadnień cywilizacyjnych trzeba ustalić znaczenie wyrazów — naród i cywilizacja.

Co to jest naród? Definicje narodu, na które składa się terytorjum, język, państwo, wspólne pochodzenie ludności, a nawet wspólna jej kultura, mieszają z istotą narodu materjalne warunki, bez których on utworzyć się nie może i formy, które sobie nadaje, ale które istoty jego nie stanowią. Austrja była państwem, nie była narodem. Belgowie i Szwajcarzy są narodami, mimo że nie posiadają języka odrębnego. Bretoni mają terytorjum, język, samoistną kulturę i poczucie wspólności, są jednak we Francji tylko odrębną ludnością. Można zauważyć, że gdyby posiadali jeszcze państwo, t. j. wszystkie wyliczone powyżej cechy, to narodem by byli. Niewątpliwie. Brak im warunku psychologicznego, energji politycznej, bez której niepodobne jest utworzenie własnej państwowości. Nie państwo jednak stanowiłoby ich istotę jako narodu. Znamy bowiem społeczeństwa, posiadające te wszystkie cechy co Bretoni i tak samo jak oni nie posiadające państwa, a będące narodami. Przykładem Irlandja, przykładem Polska, po utracie niepodległości między trzy państwa rozdzielona.

Argumenty te są znane, doprowadzają do rozbicia każdej definicji, bo żadnej nie pozwalają na powszechne zastosowanie i przyczyniają się wprawdzie do wyświetlenia, co nie jest narodem, ale nic ponadto. Określenie znajdziemy, idąc do historji, badając drogi, na których narody powstawały, i chwytając moment ich stania się. Wtedy sformułujemy definicję, którą w rozważaniach niniejszych uważać będziemy za obowiązującą:

Narodem jest społeczeństwo, ożywione energją polityczną, posiadające wspólne ja i poczucie swojej odrębności.

„Kolonja czy naród?" pyta prezydent Wilson w swej historji Stanów Zjednoczonych, gdy dochodzi do groźnych zatargów między Ameryką a Anglją, które skończyły się utworzeniem narodu amerykańskiego. Nie miały tego celu, ale już gdy obudził się protest przeciw opłacie stempla, nie będącej wcale uciskiem fiskalnym, i przeciwko sławnej taksie na herbatę, kolonje psychologicznie przestały być kolonjami i stały się narodem. I naród amerykański, gdy Waszyngton na zapytanie o cel wojny odpowiedział „niepodległość" — już był. Na innej drodze i w innych wypadkach historycznych tworzył się naród szwajcarski — ale również w warunkach odrębności terytorjalnej i pod wpływem interwencji obcej wyrabiało się poczucie jedności kantonów.

Definicja nasza stosuje się do każdego narodu na jakiejkolwiek powstałego drodze, do każdego, który może powtórzyć słowa Waszyngtona: „Albo jesteśmy narodem, albo nie. Jeżeli jesteśmy, umiejmy bronić w każdej sprawie, która nas się tyczy, naszego charakteru narodowego".

Czy definicja ta pokrywa Żydów jako naród? Nietylko nie pokrywa, ale kwestjonuje. Terytorjum nie stanowi istoty narodu, lecz bez terytorjum niema społeczeństwa, a więc i narodu. Żydzi rozproszeni byli zawsze, wtedy jednak, gdy posiadali terytorjum państwowe, ci wszy- z nich, którzy żyli na obczyźnie, ci nawet, którzy nie znali swego języka, do żydowskiego narodu należeli.

I dziś niechby gdziekolwiek w Europie, bo Palestyna to tylko emigracja, utworzyło się żydowskie terytorjum, wszyscy Żydzi z małemi wyjątkami zupełnie zasymilowanych, we wszystkich krajach i częściach świata, częścią żydowskiego narodu by się stali. Tu według mnie tkwi sedno kwestji żydowskiej.

Żydzi posiadają energję polityczną, wspólne ja i poczucie swej odrębności, ale nie są społeczeństwem terytorjalnem i bez tego nie mogą zostać napowrót narodem. Właściwości psychologiczne, stanowiące naród, muszą pchać ich do tego, aby nim byli w całej pełni tego wyrazu. I pchają. Nie potrzeba szukać tajnych żydowskich organizacji, badać tajemnic „Mędrców Wschodu", wystarczy patrzeć, jak unaradawiają żargon, stający się już językiem literackim, jak nawet w wystąpieniach politycznych afirmują swoją odrębność narodową, jak wypełniają organizacje komunistyczne, co jest świadomem lub nieświadomem osiąganiem tego samego celu, aby zdać sobie sprawę, do czego dążą i do czego muszą dążyć. Spójrzmy na te rzeczy jasno, bo inaczej staniemy jeśli nie przed niebezpieczeństwem, to przed niepotrzebnemi turbacjami. Nie pomoże tu jakaś walka wewnętrzna, podrywająca zresztą humanitarną kulturę narodu, ale pomoże jedynie podniesienie cywilizacji narodowej do tego stopnia, aby przy niej dążenia takie stały się niemożliwe.

Tam, gdzie cywilizacja wysoka jest - tego, niema właściwie kwestji żydowskiej, tam zaś, gdzie wysokiej cywilizacji niema, przejawiają się wśród żydów tendencje tworzenia państwa w państwie. Tolerować je, to pomagać, aby z tego państwa wewnętrznego stało się państwo jedyne. Najpierw jeden krok na drabinie ewolucji, potem drugi. Każdy z nas to wie, bo wszyscy, bez względu na takie czy inne przekonania, mówią to między sobą, tylko, niewiadomo czemu, zamykają się u niektórvch usta, gdv trzeba mówić publicznie.

Lecz, powracając do zagadnienia narodu, nie można pominąć, czem jest charakter narodowy.

Charakter oznaczał u Greków starożytnych zarówno pieczęć, jak i jej odcisk. Przypominamy to, gdyż w długiej drodze, jaką ten wyraz uczynił, znajdując przeróżne zastosowania, nie zmienił swej zasadniczej treści pierwotnej. Czy w języku kościelnym, gdzie *character sacramentalis* albo *spiritualis* oznaczał cechę wyciśniętą na duszy przez przyjęcie niektórych sakramentów, czy w stylu oficjalnym, gdzie oznaczać będzie jakąś atrybucję: „przybył w charakterze ambasadora", „w swoim charakterze dyrektora baletu" i t. d. i t. d., czy w swem rozumieniu psychologicznem, jak u Bruyèra, który mu nadał powszechne zastosowanie moralne, oznacza zawsze właściwość, czy sumę właściwości specjalnych, odróżniających jedną rzecz od drugiej, lub jedno indywiduum od drugiego. Tak i charakter narodowy jest sumą właściwości moralnych, ujednostajnionych i zgeneralizowanych skutkiem dziedziczności, wychowania, wzajemnego naśladownictwa, przystosowania się do środowiska, wspólnych przeżyć historycznych, które to właściwości stanowią specjalną, odróżniającą jeden naród od drugiego, cechę psychologiczną. I tak — dla przykładu — jednym z wybitnych rysów charakteru polskiego będzie zdolność do entuzjazmu i brak zdolności do wytrwałego i konsekwentnego osiągania celu — bo żeby przeprowadzić analizę charakteru Polaków, osobnego by już trzeba było artykułu.

Stanisław Szpotański

PLAN WOBEC ROSJI

— Co będzie z Rosją?....

Ręczę, że z okazji dziesięciolecia czerwonego tryumfu, zapytanie to na różnych kontynentach zadane zostało conajmniej sto miljonów razy. Osobiście w ciągu jednego dnia słyszałem je dwadzieścia sześciokrotnie; zaczęło się rano od mej stróżki, a skończyło wieczorem na pewnym meksykańskim generale, który, dziwnym trafem, nie został rozstrzelany.

Boć niema dziś ludzi, bez względu na barwę skóry, stan finansowy i religijne lub polityczne poglądy, którzy by się nie interesowali Rosją. Należałoby tę uwagę wcielić do nowoczesnych podręczników savoir - vivre'u. Jeżeli nad obiadem trzydziesto - nakryciowym, na piątej avenue, czy w kairskich „Shepfardach", na polach Elizejskich, w West - End, czy w Alejach Ujazdowskich przemknie się, tak zwany, anioł milczenia i nudy, słowo „Rosja" wywoła zawsze efekt kamienia, rzuconego w zażabiony stawek. Rechot będzie większy jeszcze, niż po puszczeniu między talerze i kryształy „sprawy żydowskiej", która słusznie uchodziła dotąd, na wszystkich szerokościach geograficznych, jako ostateczny, zbawienny, ratowniczy środek dla umierającej konwersacji.

Przyczyny tej namiętności, przypominające swą uniwersalnością zamiłowanie do tytuniu i do brydża, są rozmaite. Pani Julja (moja czcigodna konsierżka) ma ku temu powody zgoła realne: pliczkę carskich obligacji o nieodcinanych od dziesięciu lat kuponach. Ten zaś ponury pan, napotykający pewne trudności w lokowaniu wytwarzanych przezeń samochodów ciężarowych, marzy w bezsenne noce, poprzedzające damoklesowe terminy wypłat, o fantastycznym, acz mało realnym, o bezbrzeżnym rynku rosyjskim. Ów starszy profesor o gołębim uśmiechu, członek „Ligi praw człowieka", ma węch nastawiony na przelewaną krew bratnią, gdyż czułość na cierpienia ludzkości łączy się zawsze ze szczyptą judyzmu, który w opowieściach o „Łubiance" i wyspach Sołowieckich znajduje dziwne ukojenie. Wreszcie przy tym samym stole biesiadnym siedzą damy, córy tych, które ongi za tysiąc franków wynajmowały okno na placu de la Roquette, by zobaczyć o świcie, jak przez jedną piątą sekundy odejmują człowiekowi głowę. Rosja łechcze snobizm tych amatorek nowości o dobrze dobranych towarzyszach, gardzących maszyną czterocylindrową z zeszłorocznym numerem (przedpotopowy grat, piękna pani!), grymaszących wobec szklanki uczciwego wina, a wpadających w rozanielenie wobec najnowszego systemu szatańskich mięszanin, tak zwanych „skrętokiszów" czyli cocktail'i. To te wiotkie panie, dla których nowoczesnem bożyszczem jest Antoine (Antoni Cierplikowski, rodem z Warszawy, artysta - ondulator, reformator głowy kobiecej, panujący wszechwładnie nad światem niewieścim obu półkuli), powstały po premjerze filmu „Ivan groźny" w teatrze Elizejskim, piszcząc: „Vive les soviets!" i oklaskując, aż miljonocenne naszyjniki z pereł szczękały na wychudzonych przez blackbotom i djetę ramionach, jak kastaniety.

Ale skończmy z tym wstępem i odpowiedzmy na pytanie. Odpowiedzmy najprzód pani Julji, której urząd, bardziej wpływowy w stosunkach paryskich od stanowiska prefekta policji, nakazuje poważne ujęcie sprawy.

— Co będzie z Rosją?... Tak postawione pytanie, moja droga Juljo, jest źle postawionem pytaniem. Wchodzimy tu w zakres zagadek zgoła meteorologicznych... Łatwiej raczej jest przewidzieć, czy rok 1930-y będzie urodzajnym na burgundzkie winogrona...

— Słowem — zaznaczyła zacna i przenikliwa osoba — wiedza i stosunki na nic się nie przydają...?

— Do pewnego stopnia tak — odparłem skruszony — 8 listopada 1917 roku, nazajutrz po przewrocie, udałem się do Instytutu Smolnego w Petersburgu z wizytą do pana Trockiego, który był uosobieniem rewolucji bolszewickiej, bodaj że bardziej decydującem, niż jego kolega Lenin. P. Trocki puścił się przedemną na różne przewidywania, które częściowo ogłosiłem, częściowo tylko, gdyż cenzura p. Clemenceau upstrzyła mój artykuł, od góry do dołu, białemi kępkami.... Przewidział p. Trocki wiele rzeczy, zgoła rozsądnie, prócz tego, że on twórca, przywódca, protagonista, bohater, inicjator, wodzirej, nauczyciel, drogowskaz, obudziciel, renowator i t. d., i t. d. będzie dziesięć lat później niemal że pod opłotkiem...

— Czegóż to dowodzi? — spytała niewiasta uzbrojona w miotłę...

— Dowodzi to tego, moja droga Juljo, że mamy prostaczy zgoła sposób odnoszenia do przejawów życia. Dla nas tak zwany zbrodniarz albo uniknie kary, albo zostanie skazany. Ale jest jeszcze trzecia kombinacja. Może go stoczyć własna prywatna choroba, taka, albo inna, gdyż wszelakich mikrobów jest wiele i wobec tego trudno o proroctwa. Natomiast bardziej realnem, gdyż obracającem się w sferze konkretnych ludzkich zamierzeń, jest inne zapytanie: jakie są plany wobec Rosji mocarstw zorganizowanych, działających rzeczowo, świadomie, konsekwentnie? Jakież są dzisiaj zamiary wobec Rosji rządów zachodnich, Francji, Anglji?...

— No, niech pan powie, to ciekawe.... — rzekła dama badawczo..

Czując, żem się za bardzo posunął, wzruszyłem ramionami, narażając się oczywiście na coś w rodzaju pogardy...

— A ja myślałam... — szepnęła rozczarowana stróżka. — Wszak widziałam pańską fotografję, łeb w łeb, z Austenem Chamberlain'em i niedawno jeszcze zajechał tu konno gwardzista republikański z odręcznem pismem z prezydjum... Więc myślałam... Przepraszam bardzo.... Jeżeli pan się śpieszy, to już również...

To był tylko początek; to samo, acz w różnych formach, spotkało mnie później i z ponurym panem od samochodów, i z gołębim profesorem od ligi praw człowieka, i z młodzieńcem od cocktaili najnowszego systemu, i z damą od Antoine'a.

Wszyscy zaczynali od słów: „pan, który jest tak dobrze poinformowany...."

Wreszcie musiałem się wyspowiadać i niechże, ułatwieniu mej egzystencji gwoli, ta spowiedź stanie się publiczna i wydrukowana, czarno na białem, w „Świecie", który jest moim bliźniakiem, nie dlatego, bym próbował wmówić w kogokolwiek, że mam 22 lata, ale dlatego, że on, to jest „Świat", narodził się właśnie w chwili, kiedy mózg mój wyszedł z kołyski.

Otóż, rzekłem tym wszystkim indygatorom, inkwizytorom, spowiednikom (począwszy od stróżki a kończąc na meksykańskim generale):

— Nie jestem, jak wam się zdaje, człowiekiem tak dobrze poinformowanym. To, co wiem, nie zawdzięczam tyle słowom konkretnym, które słyszę niemal codziennie z ust, tak nazwanych, rządców świata, ale raczej intuicji, która mi

pozwala te słowa łączyć, interpretować i czytać między wierszami. I jakoś mi się udało, że dotąd bardzo rzadko się omyliłem. I dałem na to następujący przykład:

W marcu 1927-ego roku zagadnąłem ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanji, Sira Austen'a Chamberlain'a, zapytując go:

— Czy prawdą jest, że Wielka Brytanja ma dosyć sowietów i pragnie, w tej lub innej formie, stworzyć nowoczesnego typu oblężenie Rosji czerwonej?...

Mina pana ministra w tym momencie była taka, że przyrównać ją można tylko chyba do wyrazu twarzy tej eleganckiej i anegdotycznej damy, którą żydek w Kozienicach czy Pacanowie (bo już nie pamiętam) zinterwiewował w ten sposób: „Przepraszam bardzo jaśnie pani.... czy jaśnie pani przypadkiem nie.. kurtyzana...? Ny, co?... spytać się nie wolno?"...

Otóż okazuje się, że pytać się nie wolno, zarówno damy, jak i dyplomaty. Próbowałem bowiem zadać inne pytanie:

— Ależ, w każdym razie — rzekłem — można bez ryzyka przewidzieć, że Anglja zerwie stosunki dyplomatyczne z Sowietami?...

Spotkałem się z tym samym wyrazem twarzy, zdziwionym, oburzonym, niemal że wystraszonym.

— Nic podobnego — wypowiedział wreszcie z naciskiem kierownik Foreign Office'u.

Dwa dni później znalazłem się w blizkiem gronie w salonówce p. Arystydesa Briand'a, na powrotnej drodze do Paryża.

— Panie prezydencie — wtrąciłem naraz do rozmowy, która toczyła się na tematy mało polityczne, jak łapanie ryb na wędkę, hodowla gołębi i umiejętne manewrowanie łodzią żaglową — sir Austen Chamberlain, pański przyjaciel i kolega, zapewniał mnie, że Anglja nie ma zamiaru zerwać z sowietami... Mam wrażenie, że... że powiedział on rzecz... nieodpowiadającą prawdzie...?

P. Briand roześmiał się dobrodusznie.

— Któż z nas nie kłamie?...—odpowiedział — przecież trudno zawczasu się wygadywać...

— To słusznie—odpowiedziałem również żartobliwie — ale moja siła polega na tem, że ja wiem, wiem doskonale, kiedy pan prezydent, że tak powiem, że się tak wyrażę, że to tak oględnie sformułuję, że ja wiem, kiedy pan prezydent... mija się z prawdą...

— Ależ doskonale! — zaśmiał się swym grubym basem p. Briand — gdyby pan nie wiedział, to by pan powinien bułki piec, a nie być publicystą...

Nazajutrz, w artykule wstępnym, wyraziłem przekonanie, że Wielka Brytanja ma przed sobą najwyżej kwartał czasu do przepędzenia sowieckiej ambasady. Przepowiednia ta spełniła się po dwuch miesiącach.

Cóż z tego wynika?... Że koncepcja o ogólnym biegu wypadków nie może być oparta na bezpośrednich ścisłych dosłownych informacjach. Nikt bowiem, najbardziej zaufanemu człowiekowi nie powie: jutro, za miesiąc, za trzy miesiące zrobię to, albo owo. Podobnych rzeczy nie mówi się własnej żonie, a nawet kochance, chyba, że się nie jest „człowiekiem rządu" (un homme de gouvernement!) ale gadatliwą portjerką. Człowiek rządu w największej tajemnicy zwierza się publicyście, ujawniając szeptem, przy zamkniętych drzwiach, przyćmionem świetle i rozłączonym telefonie swoje plany, *gdy te plany już są rzeczą dokonaną.*

Naszą jednak rolą jest wiedzieć o tych planach *w przeddzień*. Mamy, pod tym względem, na zachodzie pewną rutynę, gdyż dziennikarze dziś, stają się jutro ministrami, a ministrowie, ambasadorowie, prezydenci Republiki (wszak p. Rajmund Poincaré był przez rok, po odbyciu siedmiolecia w pałacu Elizejskim, politycznym leader'em „Matin'a") powracają znów do dziennikarskiego biurka.

Dlatego to, z minimalnem ryzykiem pomyłki, mogę wam mówić dziś o planach mocarstw zachodnich wobec Rosji sowieckiej.

Widzę jednak, że po pierwszym wstępie wypisałem wam wstęp drugi i że należy zatem odłożyć do następnego tygodnia szczegółowe wyłuszczenie wspomnianego programu.

Ale że ankieta dziennikarska nie jest rozłożonym na porcje romansem, działającym jak smyczek na nerwie ciekawości (i zresztą powątpiewam skromnie, bym mógł wzbudzić tak rzetelną ciekawość), przyznam się wam zgóry, o co w szerszych zarysach tu chodzi;

1) Plan wobec Rosji sowieckiej istnieje.

2) Wyłącza on wojnę, system dawnego drutu kolczastego, czyli gospodarczą blokadę.

3) Polega on głównie na tak zwanej „ignorancji finansowej", która przy zmienionych, korzystnych warunkach ujawni niemożność współżycia ustroju sowieckiego z całością organizmu świata.

4) Ta „kuracja", przeprowadzona konsekwentnie, ma, zdaniem jej twórców, doprowadzić do kapitulacji rządców sowieckich, nie narażając na cierpienia i straty ogółu ludności.

To są niejako nagłówki rozdziałów akcji rozważnie obmyślonej. Postaram się je rozwinąć i wyjaśnić.

Henryk Korab Kucharski

Paryż w listopadzie.

POŚWIĘCENIE GMACHU WYŻSZEJ SZKOŁY HANDLOWEJ DN. 6 B. M. W WARSZAWIE



Gmach Wyższej Szkoły Handlowej Fot. Photo-Plat

Cygaro! Kawa!

Przy sąsiednim stoliku toczyła się głośna rozmowa.

— Parlamentaryzm... — powiedział szpakowaty pan i odwracając się do przechodzącego właśnie kelnera, zawołał:

— Proszę cygaro.

Drugi pan, w smokingu tak, jak pierwszy, zapalał właśnie papierosa. Zwrócił się do kelnera:

— Kawy.

Kelner, skłoniwszy się uprzejmie, pobiegł w stronę bufetu.

— Parlamentaryzm — rzekł pierwszy pan —to wielkie słowo.

— Obszerne.

— Wielkie. Parlamentaryzm to wielka rzecz.

— Obszerna rzecz. Mieści się w niej równie dobrze demokrata Poincaré, autokrata Mussolini, despota Lenin, nic nie znaczący gentleman Jerzy angielski i warchoł Lloyd George.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że parlamentaryzm jest fikcją. Że państwem zawsze rządzi albo mądrzejszy, albo mocniejszy.

— Niekoniecznie.

— Tedy: głupszy, albo słabszy?

— Zdarza się. W parlamencie decyduje większość. Jeżeli mądry jest przegłosowany, to rządzi głupszy.

— A poco wogóle istnieje parlament? Czy po to, żeby w kraju rządził głupszy?

— Parlament jest reprezentacją całego narodu. Przez uchwały parlamentu wypowiada się wola całego narodu.

— Czy wola narodu może być głupia?

— Może.

— Po pewnem wahaniu powiadasz, że wola narodu może być głupia. Ja jestem tego samego zdania. Ale głupota prowadzi ludzi do ruiny. Czy można pozwolić głupocie na uchwalanie głupich praw? Przecież głupie prawa zrujnują naród.

— Ty nie jesteś demokratą!

— Jestem demokratą, tylko nie uznaję parlamentu.

— Jak to pogodzić?

— Parlament to racja większości. Ja nie uznaję tej racji. Rację ma mądrzejszy przeciw dziesiątkom tysięcy głupców, którzy go mogą przegłosować.

— Niech mądrzejszy głupców przekona. Na to właśnie jest parlament.

— Nie wystarcza przekonać głupców, aby uzyskać większość głosów. Bo nietylko głupcy zasiadają w parlamencie.

— A widzisz! Zasiadają i mądrzy.

— Nietylko. Zasiadają głupi i mądrzy, biedni i bogaci, uczciwi i oszuści.

— Więc?

— Nie wystarcza przekonać, nieraz trzeba zmusić.

— Zmusić?

— Tak. Można czasami przekonać głupiego, ale nadto trudno jest zdobyć głos nieuczciwego. Chyba przekupstwem. I tutaj właśnie leży słaba strona parlamentaryzmu. Na podstawie naszego wieloprzymiotnikowego prawa wyborczego, do parlamentu wchodzą mądrzy i głupi, bogaci i biedni, łotry i uczciwi. A w interesie narodu i państwa powinni wchodzić tylko mądrzy i uczciwi, t. j. mądrzy, którzy jednocześnie są uczciwi.

— Ha! to już rzecz wyborców. W interesie wyborców przecież leży wybieranie mądrych uczciwców.

— Ale w tem właśnie sęk, że pośród wyborców więcej jest głupich, niż mądrych. Mądry oszust łatwo ich przekona, pociągnie za sobą, otrzyma od nich mandat i potem warcholi w sejmie. Parlament nie jest instytucją demokratyczną, ponieważ podczas wyborów do parlamentu największy głos mają pieniądze.

— Jakto pieniądze? Każdy wybiera, kogo chce wybrać.

— Wybiera pod wpływem agitacji, a agitacja kosztuje, agitacja jest zapłacona. Kto ma więcej pieniędzy na agitację i sprytniej tę agitację zorganizuje, ten otrzymuje więcej głosów, czyli do parlamentu wchodzi kapitał, czyli wchodzi mocniejszy, nie rozumniejszy, czy uczciwszy. Składem parlamentu rządzi gotówka, a to nie jest system demokratyczny. Powszechnie wiadomą jest rzeczą, że mandaty się kupuje. Dawniej kupowano sobie głosy wyborcze za pomocą poczęstunku, dzisiaj jest to sprawa bardziej skomplikowana i kosztowniejsza, ale koniec końców każdy mandat kosztuje. Zapytaj na Kremlu, ile pieniędzy wydały Sowiety na kampanję wyborczą w Polsce, żeby wprowadzić do Sejmu kilku komunistów

— Słucham cię i... nie rozumiem. Potępiasz parlamentaryzm. Czy to ma znaczyć, że monarchję despotyczną uważasz za doskonalszy ustrój państwowy?

— Nie.

— Więc o co ci chodzi?

— Chodzi mi o wykazanie, że parlamentaryzm taksamo mało ma wspólnego z demokratyzmem, jak monarchja despotyczna. Z parlamentem, czy bez parlamentu, krajem rządzi zawsze tylko jeden człowiek. Nazywa się ten człowiek Perykles, August, Ludwik XIV, Cromwell, Bonaparte, bywa władcą wybieralnym, lub władcą dziedzicznym, ale rządzi sam. Miewa doradców, zapewne. Ale on jeden postanawia, w nim jednym jest siła decyzji. Nie, nie formalna siła, siła rzeczywista. Ta siła, którą on rządzi, wypływa z niego samego.

— Bój się Boga, co ty wygadujesz?! Takby mógł rozumować człowiek z epoki elżbietańskiej, z epoki Piotra Wielkiego, Fryderyka Wielkiego, ale ty przecież żyjesz w XX stuleciu!

— Żyję, mój kochany, razem z tobą w stuleciu Mussoliniego, Rivery, Kemala, Mikołaja Drugiego i jego prawych następców, Lenina i Stalina. Przyznasz chyba, że te parlamentarne kraje bardzo przypominają kraje, rządzone samowładnie.

— A może ty się w dodatku uważasz za republikanina?

— Zupełnie tak samo, mój drogi, jak się uważał za republikanina Tyberjusz, wszystkie sprawy rozstrzygający przez senat rzymski.

— Ależ Tyberjusz w gruncie rzeczy niczem się nie różni od Ludwika XI i Iwana Groźnego!

— A jednak był republikaninem. I Juljusz Cezar był republikaninem, był menerem partji demokratycznej, i Napoleon, i marszałkowie Napoleona, i ja, skromny inżynier, dyrektor niedużej fabryki, jestem republikaninem.

— Wytłomacz mi, jak się to wszystko dzieje, bo takeś zamącił....!

— Nic łatwiejszego, drogi bankierze. Republikanie bywali na świecie po wszystkie czasy, tylko nigdy jeszcze nie było republiki. Bo republika jest zgromadzeniem obywateli idealnych. O państwo, złożone z samych obywateli idealnych, niezmiernie trudno, gdyż jak ci wiadomo, ludzie są to twory ułomne. Duch silny, ale ciało mdłe. Otóż to mdłe ciało, żeby się jako tako trzymało, trzeba podniecać dyscypliną. Dyscyplina zmusza głupiego obywatela do mądrości państwowej, a łotra do uczciwości. Takie jednak myślenie za głupiego obywatela nie jest sprawą demokratyczną, bowiem kompromituje wolność osobistą obywatela - głupca, czyli narusza podstawę republikańskiego ustroju. Republika znaczy jednakowy poziom inteligencji wszystkich obywateli: równość. Jednakowy poziom ich moralności: równość. W praktyce niby osiąga się tę równość przez... głosowanie. Nonsens. I o tej rzekomej równości decyduje... większość. Nonsens.

— Dlaczego nonsens?

— Ponieważ większość nie znaczy powszechność, jednomyślność, a po drugie większość jest zawsze głupsza i gorsza. Mędrców i bohaterów mniej jest na świecie, niż głupców i sobków. Słowem, błędne koło. Odkąd świat światem, nigdy jeszcze nie widziano państwa złożonego z samych Peryklesów, czy Robespierów, dlatego Peryklesowi i Robespierowi ofiarowuje się specjalne pełnomocnictwa. Amen.

— Jaki z tego wyprowadzasz wniosek?

— Że demokratyczna instytucja, zwana parlamentem, nie zabezpiecza demokratyzmu.

—Jakie z tego widzisz wyjście?

— Ja?

— Pewnie, że nie ja, bo nie ja, ale ty krytykujesz parlamentaryzm. Jak, według ciebie, powinni się ludzie rządzić, żeby się naprawdę rządzili demokratycznie?

— Nie wiem.

— Nie wiesz?!

— A ty wiesz?

— Nie wiem, ale ja nie krytykuję.

— Bardzo źle robisz, mój drogi. Ja krytykuję, czyli analizuję zjawiska życiowe, czyli oceniam stosunki, śród których się obracam, bo taka krytyka jest poprostu lampą, oświetlającą mój życiowy pokój. Ale od tego do tworzenia nowych form społecznego życia jest bardzo daleko. Nie mam w sobie materjału na Likurga i Hamurabiego. Można umieć ocenić obraz i nie umieć obrazu namalować. Zwróć się ze swojem pytaniem do fachowców.

— Gdzie oni są, ci fachowcy?

— U Loursa, u Semadeniego i w każdym sklepiku z bułkami.

— O, widzisz! Każda poważna dyskusja z tobą tak się kończy.

— A tybyś chciał, żeby każda poważna dyskusja kończyła się genialnym wynalazkiem!

— Pewnie żebym chciał.

— No, to bądź genialny, nikt ci nie broni, kochanku.

W tej chwili zbliżył się do mnie mój znajomy i zapytał, czy może ze mną chwilę posiedzieć. Usiadł i dalszej rozmowy szpakowatego pana z krytykiem parlamentaryzmu nie słyszałem.

Wacław Grubiński

Drobiazgi teatralne

WE FRANCJI I U NAS

W ostatniej powieści L. I. Finot'a „*La chaste infidèle*" (stanowiącej zajmujący obraz współczesnych obyczajów zamożnej burżuazji paryskiej), młoda panna prosi swego narzeczonego, by nie brał udziału w wyścigu samochodowym.

— Dlaczego? — pyta młodzieniec.

— Będę się tak lękała! O wypadek łatwo! Proszę pana, niech pan to dla mnie zrobi...

Sportsmen śmieje się pobłażliwie.

— Co by pani powiedziała o człowiekuu, który, chcąc się żenić z artystką, zaproponowałby jej, żeby ustąpiła ze sceny?....

Widocznie w Paryżu takie żądanie wydaje się nonsensem. U nas, w Polsce, jest zwyczajem, źle świadczącym o istotnem „powołaniu" naszych gwiazd scenicznych, skoro swą sztukę dla hymenu poświęcają tak łatwo.

PREMJERA LITERACKA W WILNIE

„Reduta" p. Osterwy zainaugurowała sezon tegoroczny wystawieniem „Okna", sztuki w 3-ch aktach Andrzeja Rybickiego. Sztukę tę miał wystawić Teatr Narodowy w Warszawie. Skutkiem niedojścia do skutku występów p. Osterwy, sprawa uległa zwłoce, i pierwszy utwór nowego autora ujrzał nasamprzód światło rampy w Wilnie.

Dramat p. Rybickiego zdaje się nosić pewne reminiscencje wpływów twórczości Przybyszewskiego. Jest niewątpliwie dziełem talentu, aczkolwiek nić akcji gubi się w symbolistyce mętnej i nieco sztucznej. Są jednak w niej momenty szczerego uczucia poetyckiego, w których wzruszenie autora udziela się w całej pełni widzom. Nawet gdyby „Okno" nie zyskało większego teatralnego powodzenia, pierwszy ten występ p. Rybickiego należy uważać za pomyślny i obiecujący.

NOWA SZTUKA LENORMAND'A

Paryski teatr „Les Mathurins" wystawił nową sztukę tego pisarza, któremu we współczesnej literaturze dramatycznej francuskiej należy się niewątpliwie jedno z najpocześniejszych miejsc. Lenormand traktuje swą sztukę poważnie, nie jako rzemiosło dochodowe, ale jako wyższe powołanie. Nie ubiega się o dorywcze powodzenie, stara się natomiast o pogłębienie tematów, o dotarcie do najtajniejszych zaułków duszy ludzkiej. W ostatniej swej sztuce p. t. „Mixture" analizuje miłość macierzyńską, doszukując się w niej elementów egoistycznych, dalekich od tego uczucia, do jakiego przyzwyczaiła nas literatura. To też analiza Lenormand'a, bolesna i przykra, nie mogła zjednać mu u publiczności żywszego sukcesu.

U nas Lenormand jest znany jako autor „Samum'u", wystawionego przed paru laty z dużem powodzeniem w Teatrze Polskim. Najlepsza jednak sztuka tego autora, — którą on sam najwięcej ze swego dorobku ceni, — „*Les ratés*", dotąd nie była graną. A zasługuje niewątpliwie na wystawienie.

Anegdotki teatralne

Słynnemu Lucien Guitry polecano bardzo miłą aktoreczkę, której role ograniczały się dotychczas do słów: „Jaśnie pani, podano do stołu" i do przynoszenia listów na tacy.

— Czy nie zechciałby pan powierzać jej poważniejszych ról? — prosił opiekun i protektor młodocianej artystki.

— Ależ chętnie. Odtąd na scenie będzie przynosiła conajmniej listy polecone.

*

Dyrektor teatru angażuje aktorkę, której debiut wypadł bardzo pomyślnie. Podczas spisywania kontraktu zawodowe pytanie:

— Ile lat?

— Dwadzieścia dwa.

— To liczba, do której nie należy się przyznawać w teatrze. Napiszemy, że pani ma osiemnaście lat.

— Jak pan uważa, panie dyrektorze. Ale właściwie mam już dwadzieścia sześć.

*

— Wreszcie,niech mi pani powie, ile pani ma lat? — pyta niedyskretny jegomość dowcipną aktorkę.

— Dwadzieścia trzy

— Jakto, w zeszłym roku przyznawała się pani do dwudziestu czterech.

— Więc cóż z tego? Mam teraz o rok mniej do życia, więc go odejmuję.

*

— Nic dziwnego — mówi aktorka o koleżance, — że uchodzi za młodszą: nie przestaje swoich lat doliczać przyjaciółkom.

*

— Czy widziałeś kiedyś doskonałą sztukę w doskonałej obsadzie? — pytają bywalca teatralnego.

— Nie... ale widziałem bardzo dużo miernych sztuk, w miernej obsadzie.

*

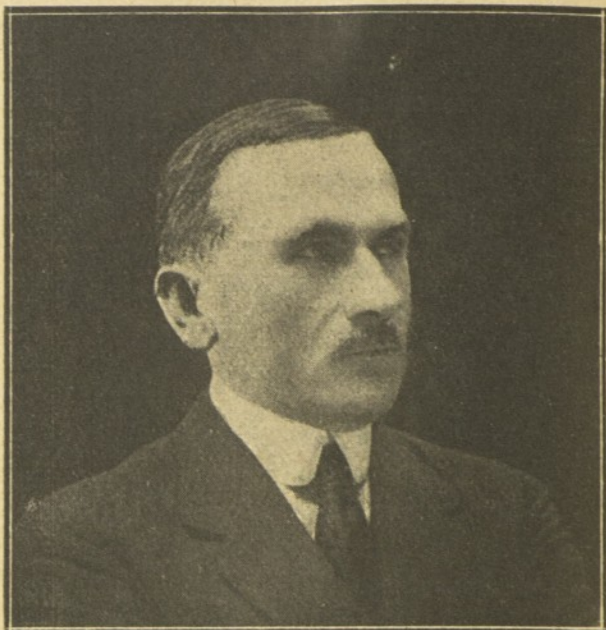
Pewna aktorka komedjowa uroczej powierzchowności mówi do swojego kolegi:

— Jestem szczęśliwa! Znalazłam przyjaciela, pieniądze, piękne role.

— Któż mógł od jednego zamachu zgubić tyle rzeczy... — zauważa kolega.

*

NAGRODA LITERACKA MIASTA POZNANIA



Roman Dmowski, znany polityk, leader Ob. W. P., b. prezes komitetu narodowego w Paryżu, autor „Myśli Nowoczesnego Polaka" i szeregu książek politycznych, otrzymał nagrodę miasta Poznania w kwocie 10 tysięcy złotych

Król Edward VII pytał śliczną aktoreczkę:

— Jaka jest różnica między mężczyzną pięćdziesięcioletnim i sześćdziesięcioletnim?

— Gdy mężczyzna zaczyna siwieć, to znaczy, że ma pięćdziesiąt lat, gdy zaczyna czernić włosy, to ma sześćdziesiąt.

*

Na czwartkowem przyjęciu u pani Aurel mówi się o pewnym dramaturgu równie nudnym, jak i pretensjonalnym:

Jakiś przyjaciel — o cudzie! — staje w jego obronie.

— Zapewniam panią, że kiedy się stara, bywa bardzo dowcipny.

— Niestety — rzekła pani domu — jest głupi wtedy, gdy się o to nie stara.

*

W jakiemś piśmie humorystycznem przeprowadzano ankietę: „Co byś uczynił, gdybyś był przez pięć minut Panem Niebios?

Jedna z weselszych gwiazd kabaretowych odpowiedziała:

„Wymyśliłabym nowy grzech".

*

Młody aktor stara się o zamożną jedynaczkę, córkę bankiera.

— ...Bardzo pięknie — mówi papa — że pan kocha moją córkę, ale moja córka ma duże potrzeby, i to, co pan zarabia, starczy zaledwie na chustki do nosa.

— Mam nadzieję, że nie będzie miała kataru przez całe życie.

*

Syn chrzestny Marcela Prevost ma zamiar ożenić się. Nie może jednak zdecydować się na wybór. Zwraca się do ojca chrzestnego:

— Powiedz mi, jaka kobieta bywa według ciebie ideałem żony?

— Idealną kobietą bywa taka, która pozostaje wierną, a ma dla ciebie względy, jakby cię zdradzała.

h.

TEATR POLSKI: „WOJNA WOJNIE“, KOMEDJA A. NOWACZYŃSKIEGO



Krzewiński (Demos) i Pancewiczowa (Miroluba)



Szymbortówna (Doris) i Samborski (Kleon)

Fot. St. Brzozowski

Scena zbiorowa: Kleon w opałach (Samborski)

Fot. St. Brzozowski



Scena w więzieniu akt. III. P.p. Janowski, Szereszewska, Karwowska, Olgina, Mossakowski, Tokarski i Gruszczyński

Premjera w operze

„Uczta Szyderców" (La Cena Delle Beffe) jest od początku do końca, od libretta delli Ponti aż do ostatniego akordu ostatniego aktu U m b e r t a G i o r d a n a, — operą nawskroś operową. Niema tu jednego gestu, jednej modulacji, jednej sytuacji słowa, ruchu, okrzyku, bieglika, któryby nie był obliczony na ucho, fantazję i umysłowość operowego słuchacza i to może przez pół słuchacza, przez pół zaś widza.

W gwarze teatralnej nazywa się operę taką już to maszyną, już to „machą". Wszystko tu jest ogromne, straszne, przeraźliwe, anielsko dobre, piekielnie złe, jeżeli chodzi o przebieg samej tragedji. Wszystko, o ile chodzi o muzykę, pozbawione głębszego sensu, wszelkiej prostoty wyrazu, skupione bez reszty w łatwej bombastycznej ekspresji. A więc melodje rozlewne, pozwalające na szeroką kantilenę; popis śpiewaczy we wszelkich akcentach, fermatach i zawodowych trybach, a więc orkiestra od samego początku natężona w patetycznej ekspresji, pełna nieustannych poruszeń, zwrotów i wzlotów, brzmiąca dźwięcznie lecz pusto.

Czy winszować kierownictwu tej premjery, czy składać kondolencję?

Sądzimy, że z punktu widzenia celów, jakie przyświecały dyrekcji przy wystawieniu tej maszyny, jest raczej miejsce na życzenia, niż na kondolencje. Chodziło zapewne o względy kasowe. O utrzymanie frekwencji publiczności do Teatru Wielkiego na odpowiednio - godziwym poziomie. Z tego punktu widzenia „Uczta Szyderców" osiągnie chyba pożądany wynik. Jeżeli Warszawa na „to" nie będzie chodziła, to na nic już chyba do Teatru Wielkiego nie przyjdzie.

Tembardziej, iż śpiewają w tej operze najlepsze nasze głosy, Gruszczyński i Mossakowski. Obaj obdarzeni potężnym woluminem, obaj atakujący górę szturmem gwałtownego wysiłku (za dużo daje go Gruszczyński), obaj potężni w skali średniej i pięknie w niej brzmiący. P. Budziszewska nie może za nimi nadążyć. Reżyser winien zwrócić uwagę tej artystce na niewłaściwy kostjum w akcie II-im, oraz na plastyczną stronę roli w tym akcie, niezręczną, prawie groteskową.

Podkreślamy z tego miejsca epizodyczną kreację p. Janowskiego, godną dobrego artysty dramatycznego.

Kapelmistrzował p. Dołżycki, dobry, jędrny w tempach, nieubłagany; — jak zawsze — w jaskrawem brio orkiestrowem. Dynamika p. Dołżyckiego sprowadza się do dwóch odcieni: Obojętne piano i niepohamowane fortissimo. Niema więc żadnych prawie w wykonaniu gradacyj. Z piekielnego żaru fortissima wpadamy ustawicznie w lodowate zimno obojętnego piana. Oczywiście, fortissima znacznie więcej. Śpiewacy nie mogą opanować tego forte, giną bez reszty w zalewie orkiestry, nawet Gruszczyński, nawet Mossakowski, widać tylko, że robią, co mogą, bo aż im przecie oczy na wierzch wychodzą.

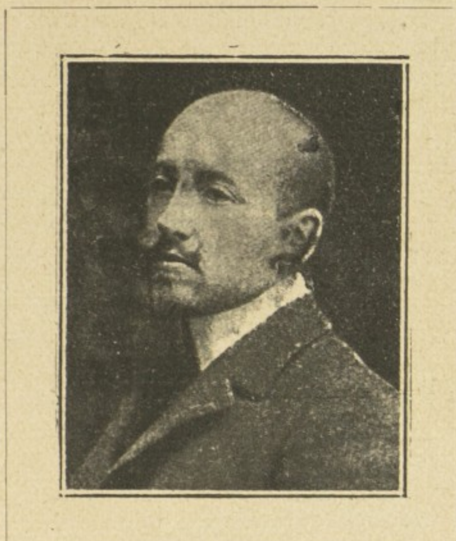
jkb.

Święto teatralne nad jeziorem Garda

W pięknej rezydencji Gabrjela D'Annunzio w Vittoriale nad jeziorem Garda odbyło się w połowie września przedstawienie teatralne na wolnem powietrzu. Uroczyste to przedstawienie o wyjątkowym charakterze stało się sensacją dnia.

Teatr, zapełniony do ostatniego miejsca, gościł wśród innych księcia d'Aosta, księcia de Montenevoso, przedstawicieli najwyższej arystokracji italskiej, wiele osobistości ze sfer rządowych, wojskowych i artystyczno - literackich. Nie brakło też gości zamorskich, bo komuż było łatwiej zapłacić za bilet wstępu 1000 lirów?! (obecnie około 500 złotych).

Dochód z tego przedstawienia ma być podwaliną funduszu na budowę teatru kamiennego, który ma powstać w Vittoriale z inicjatywy pełnego zawsze energji



Gabrjel D'Annunzio

i przedsiębiorczości sędziwego autora „Giocondy".

Przedstawienie to, na które wybrano pełną nastroju tragedję pasterską „Córka Joria" (tłomaczyła ją u nas Marja Konopnicka), odbyło się w dziesiątą rocznicę zajęcia Fiume przez Komendanta Gabriele D'Annunzio.

Z inicjatywy senatora Vincenzo Morello, Komisarza generalnego Związku Autorów Dramatycznych włoskich, zawiązał się jeszcze przed rokiem specjalny komitet celem przygotowania cyklu dramatów wielkiego poety. Teraz nastąpiła chwila realizowania tego planu.

Od długiego szeregu tygodni odbywały się próby z czterech sztuk D'Annunzia: cykl otwiera „Córka Joria", dalej mają być wystawione: „Francesca da Rimini" „Parisina" i „Gloria".

Reżyserji tych trudnych do wystawienia sztuk podjął się najwybitniejszy obecnie na tej niwie pracownik italski, Giovachino Forzano, znany i u nas autor komedjowy i reżyser w teatrze „La Scala" w Medjolanie.

Na głównych wykonawców całego cyklu wybrano znaną artystkę dramatyczną, Marję Melato i bohaterskiego Annibale Ninchi; prócz tej pary czołowych artystów zaproszono innych wybitnych aktorów.

Wykonanie dekoracji do tych sztuk o podkładzie przeważnie historycznym powierzono znanym artystom - malarzom: Machioro, Santoni i Stroppa, którzy, chcąc zachować jak najwierniej tło epoki, wzorowali się na obrazach starych mistrzów. Santoni w dekoracji do Parisiny oparł się na freskach w Pałacu Schifanoia w Ferrarze.

Zainaugurowany obecnie w Vittoriale cykl sztuk D'Annunzia ma objąć wszystkie miasta Półwyspu italskiego, a na zakończenie ma się odbyć uroczyste przedstawienie w Rzymie. W dniu święta faszystowskiego ma być tam wystawiony dramat „LA NAVE" (Okręt) w teatrze Argentina, w którym to teatrze odbyła się swego czasu premjera tej sztuki.

„Córka Joria", której akcja rozgrywa się częściowo na wolnem powietrzu, w grocie skalnej i na majdanie przed domem Łazarza Roio — znalazła w obecnem wznowieniu idealne warunki lokalne. Scena otwarta, na tle nieba i srebrzystoszarych oliwek. Reżyserja uruchomiła tłum, złożony z kilkuset wieśniaczek, pasterzy i kosiarzy, dla których wykonano kostjumy według projektów znanego artysty Caramby. Aktorzy zmięszali się zupełnie ze statystującym ludem.

Wrażenie było ogromne! Końcowe sceny dramatu, rozgrywające się na tle zachodzącego słońca, nastrojem swym przypominają przedstawienia w Oberammergau w Bawarji.

Fr. S.

Drugi Międzynarodowy Kongres krytyków teatralnych i muzycznych w Salcburgu

Idea międzynarodowego Związku Krytyków teatralnych i muzycznych zrodziła się w Paryżu, gdzie też w roku ubiegłym odbył się pierwszy Kongres, poświęcony zasadniczemu omówieniu sprawy a zakończony powierzeniem Komitetowi paryskiemu misji dalszej organizacji. Komitet paryski wywiązał się widać doskonale ze swego zadania, skoro na drugi Kongres, zwołany obecnie — coprawda przy bardzo wydatnej pomocy ambasady austrjackiej w Paryżu — do Salcburga, zjechało się ok. 50 krytyków, reprezentujących Francję, Anglję, Stany Zjednoczone, Australję, Belgję, Niemcy, Włochy, Hiszpanję, Portugalję, Norwegję, Węgry, Czechosłowację, Rumunję i Grecję. Polska nie wysłała niestety swego delegata, aczkolwiek Komitet organizujący nie zaniedbał pono niczego, by Polskę pozyskać. Źle się stało. Źle się dzieje wogóle, ilekroć brak nas tam, gdzieśmy z racji swego kulturalnego prestige'u być powinni.

Podpisany uczestniczył w Kongresie jedynie jako „obserwator" i tylko w tym charakterze na zaproszenie prezydjum zdał sprawę na równi z wszystkimi innymi przedstawicielami z życia polskiego teatru i stanu organizacji polskich krytyków.

Kongres obejmował cztery posiedzenia, którym po kolei przewodniczyli pp. *Auernheimer* (Austrja), *Rageot (Francja) Fritz Engel* (Niemcy) i *Danton - Green* (Anglja). Lwią część czasu zajęły zresztą uczestnikom Kongresu rozliczne przyjęcia (m. i. u *Reinhardta na zamku* Leopoldkron), wycieczki, koncerty i przedstawienia, któremi raczono gości do syta, a bogdaj czy nie do — przesytu. A i właściwie obrady toczyły się nieco rozwlekle i chaotycznie, zwłaszcza zasadnicza dyskusja nad trochę akademicką sprawą definicji zawodowego krytyka. Ostatecznie zgodzono się jednomyślnie na następującą rezolucję:

„Międzynar. Kongres krytyków teatralnych i muzycznych w Salcburgu wyraża życzenie, by poszczególne związki uznały jako zasadę, że na członków przyjmować będą tylko tych pisarzy, którzy zdają sprawę regularnie i za honorarjum w pismach codziennych lub czasopismach, posiadają potrzebne wiadomości fachowe, a w wykonywaniu swego zawodu okazali się nieposzlakowanymi".

Druga rezolucja również jednomyślnie przyjęta brzmi: „Międzynarodowy Kongres krytyków teatralnych i muzycznych akceptuje wyrażone na poprzednim Kongresie życzenie stworzenia z poszczególnych związków narodowych jednego Międzynarodowego Związku wzgl. Zrzeszenia Krytyków teatralnych i muzycznych, i uprasza Komitet paryski, by zechciał także dalszą pracę ująć w swe ręce".

Ponadto uchwalono czynić starania, o t. zw., „kartę międzynarodową", mającą członkom Międzynar. Związku umożliwić korzystanie z teatrów i koncertów w krajach, reprezentowanych w Związku.

Wreszcie postanowiono na wniosek i zaproszenie przedstawiciela Anglji p. Dantona - Green'a — następny Kongres odbyć w r. 1928 w Londynie.

Miejmyż nadzieję, że do tego czasu krytyka polska, doceniając materjalne i moralne znaczenie tej akcji, stworzy własną organizację zawodową, i że na Kongresie londyńskim będzie reprezentowana w sposób odpowiadający zarówno powadze samej sprawy, jakoteż kulturalnemu stanowisku naszego narodu.

Józef Mirski

Jej Królewska Wysokość pani Zubkowa

(Od własnego korespondenta berlińskiego)

W cichem, odosobnionem miasteczku, dumnem ze wspomnień o Beethovenie, wznosi się wśród parku w angielskim stylu biały wytworny pałac. Siedzibę książąt Schaumburg - Lippe zamieszkuje księżniczka Wiktorja Pruska, siostra Kajzera. Przechodnie na Koblenzer Strasse mają czasami sposobność widzieć dwie kobiety, przechadzające się po parku: jedną jest sześćdziesięciodwuletnia księżniczka, drugą — młodszą — jej przyszła teściowa, pani Zubkowa. Jeśli pójść nieco dalej — do urzędu stanu cywilnego miasta Bonn — rzuci się w oczy następujący tekst zapowiedzi:

„Podaje się do ogólnej wiadomości, że

1. Aleksander Zubkow, bez zajęcia, zamieszkały w Bonn, Burgstrasse 175, przedtem w Berlinie
2. Fryderyka Amalja Wilhelmina Wiktorja księżna Schaumburg - Lippe, urodzona księżniczka Pruska, zamieszkała w Bonn, Koblenzerstrasse 141, zamierzają zawrzeć związek małżeński.



Ks. Schaumbourg-Lippe i Aleksander Zubkow

Zapowiedzi mają być podane do wiadomości w gminach Bonn i Berlin".

Miasteczko Bonn ma więc swoją sensację; nowiny o jedynym w swoim rodzaju mezaljansie podają telegraficznie specjalni korespondenci do swoich gazet. „Temps" paryski odszukał podobno przyjaciółkę Zubkowa w ville Lumière, która utrzymywała przez czas pewien własną pracą przyszłego szwagra ekskajzera; niejeden szofer berliński wspomina 27-letniego młodzieńca, byłego kolegę, nazywanego w oryginalnem uproszczeniu „Suppenkopf" — główką w zupie; ci zaś z poławiaczy pereł i sensacji, którym brak materjału i straszno przed gromowładnym Zeusem - Wydawcą, podają nowiny ciekawe acz wyssane z palca, np. o służbie Zubkowa w Legji cudzoziemskiej, jego pracy jako tancerza zawodowego, brzydkich chorobach, na które cierpiał, pasożytach społeczeństwa i tym podobne apetyczne historyjki, zaspakajające żądania redakcji i smak wybrednej publiczności.

Bajeczki takie cieszą się i owszem wielką poczytnością: garnie się do nich i profesor uniwersytetu i jego kucharka. Niech nam ze swej strony wolno będzie dorzucić nikły listek wawrzynu do epopei chytrego Ulissesa, przedzierzgniętego w młodego Zubkowa; z braku fantazji trzymać się jednak musimy prawdy, co niech nam czytelnicy łaskawie wybaczą, tembardziej, że ślub „młodej i dobranej" pary tuż, tuż... za pasem.

W Iwanowie, osadzie blisko matuszki Moskwy, żył był fabrykant, żonaty ze Szwedką. W dniu 25-ym września 1899 roku urodził im się syn Aleksander. Młody Sasza wdał się widocznie w swego imiennika z Macedonji; nie miał jednak, jak ów, nauczyciela Arystotelesa; chodził więc biedaczysko do gimnazjum pod murami Kremla, a potem powiększył grono młodych medyków. Nie mamy na to wprawdzie dowodów na piśmie, których towarzysz narkomindieł Cziczerin, mimo niewątpliwej wdzięczności dla Wilhelma, przyszłemu szwagrowi Kajzera nie nadesłał; okazujemy naszą dobrą wolę i wierzymy noworuskiej bylinie, jako że niema nic nadzwyczajnego w historji młodego studenta, przepędzonego potem przez bolszewików. Dziś sprawiedliwość dziejowa — można to i tak nazwać — święci swe obchody: czerwoni władcy w Kremlu wiwatują z okazji dziesięciolecia; młody Zubkow pędzi na motocyklu do pałacu narzeczonej i psuje krew Imperatorowi Rexowi w Doorn. ....Posłuchajcie jednak dalej: Zmuszony do opuszczenia Rosji, udaje się młody Zubkow do Szwecji, kraju swej matki. Przez czas pewien chwyta się emigrant wszystkiego, co mu się nastręcza: więc odpoczywa u krewnych, pracuje jako komiwojażer, wreszcie jednak zmuszony jest do ciężkiej „czarnej" pracy na fińskim okręcie. Zubkow—Peer Gynt staje się marynarzem. Trzy lata podróży, trzy lata brudnych portów, zawiedzionych nadziei; marzenia, które pierś rozpierają, i rzeczywistość, odmienna od fantazji; twarda szkoła życia, nie pachnąca klasztorem. Potem: znużenie. Koniec „morskiej karjery". Paryż, Berlin. Jeden z wielu tysięcy rosyjskich emigrantów.

Każda emigracja jest katastrofą dla ludzi nią dotkniętych; emigracja rosyjska jest ponadto katastrofą à la Tołstoj lub Dostojewskij. Cała lekkomyślność „szerokiej natury" o perspektywach stepu ukraińskiego i tajgi syberyjskiej znalazła ujście w tragikomicznym kalejdoskopie, jakim jest emigracja w Paryżu i w Berlinie. Z jednej strony luksus, z drugiej nędza. Tu i tam brak woli i wytrwałości. Zdziecinniali wierni poddani, bezczynni w oczekiwaniu cudu; niebieskie ptaszki, węszące w lot konjunkturę. Między jednymi i drugimi, rzadko siani: ludzie.

Zubkow śpi w schronisku Armji Zbawienia, nocuje w poczekalniach stacji kolejowych, zmywa naczynia w restauracji za trzy marki dziennie, parę razy filmuje jako statysta; wiedzie życie typowego wykolejeńca i napewno nie zawsze ma chęć do pracy.

W pewnej takiej chwili jedzie do Bonn, aby pożyczyć pieniądze od jakiegoś dalekiego krewnego. Tu następuje amerykański happy end: krewny wprowadza go do Palais Schaumburg; pożycza mu w tym celu swoje spodnie; Zubkow poznaje księżnę; sam jest nieco w stroju à la Buster Keaton. Jej Królewska Wysokość zaprasza młodego rosjanina do tenisa. A teraz parę słów o księżnej Wiktorji....

Ród Hohenzollernów — dobrej średniej szlachty — należał do parwenjuszów wśród rodzin królewskich. Wojna prusko - francuska wyniosła na tron cesarza Wilhelma I — dorobkiewicza wojennego, na wzór Stinnesa. Wilhelm II — zwany „małym" lub „ostatnim", roztrwonił dorobek swej rodziny. Potęga Hohenzollernów rozwiała się po drugim Wersalu; „upadła dynastja" musiała okazać swą dekadencję, jak już przedtem Habsburgowie. I z tą chwilą zabłysnęli Hohenzollernowie jako spóźnione gwiazdy erotyczne: Wiluś żeni się z księżną Hermina i odstrasza od siebie miljony „wiernych poddanych"; księżna Wiktorja, po dziesięciu latach samotności, dochodzi do przekonania, że też jest człowiekiem. Brat nie zgadza się na jej małżeństwo. Księżna Wiktorja uważa, że, mając lat 62, jest już pełnoletnia; młody emigrant rosyjski zdobył jej serce. Z Bonn wyjechał do Paryża. Tam bawił przez czas pewien, aż nadeszły listy od księżniczki. (Według innych wersji: wysłańcy z poleceniem przywiezienia Zubkowa „za wszelką cenę"). Zubkow wraca. W pałacu Schaumburg przyjmują go z otwartemi ramionami. Matka narzeczonego przybywa do Bonn, wraz z nią kilku członków domu cesarskiego, aby zawrzeć znajomość z przyszłym szwagrem. „Sensacja" — woła „opinja publiczna". Narzeczeni się tem nie przejmują. W listopadzie będzie ślub. Uzyskano zezwolenie na zawarcie małżeństwa bez dokumentów pana młodego, zaginionych w Rosji. W pałacu pobłogosławią oboje pastor i pop. Zubkow rozkoszuje się już przyszłą sławą: chce pracować handlowo, towarzystwa filmowe proponują mu jednak ponętne kontrakty. Nie brak i odwrotnej strony medalu; setki listów z prośbami o wsparcie, z groźbą zabójstwa i tym podobne. Narzeczony tem się nie martwi; ostatnio bawił w Berlinie i w jednym z tutejszych klubów zgrał się do nitki. Inaczej nie mógł postąpić. Noblesse oblige...

Berlin. *Dr. Alfred Bzowiecki*

Nowy laureat literackiej nagrody im. Nobla

Akademja szwedzka w roku bieżącym przyznała nagrodę literacką z fundacji Nobla popularnej beletrystce włoskiej, Grazji Deledda. W ojczyźnie swojej uzyskała poczytność dzięki utworom: „Kwiat Sardynji", „Cień Passatu", „Starzec z gór", „Szlachetne dusze". Powieści te poziomem artystycznym i rozległością horyzontów intellektualnych przypominają naszą Rodziewiczównę. Grazja Deledda ze specjalnym sentymentem opisuje krasę rodzinnej wyspy. Obyczaj sardyński, urok morza, charakterystyczne postacie znajdują w jej twórczości wiele odczucia. W polskim przekładzie ukazała się tylko powieść „Cenere".

Grazja Deledda liczy sobie obecnie lat sześćdziesiąt. Urodziła się bowiem w miasteczku sardyńskiem Nuoro w r. 1867. Przyznanie jej nagrody z fundacji Nobla jest wyróżnieniem w stosunku do literatury włoskiej. Po d'Annunziu, Pirandellu, jest to trzecia postać reprezentatywna twórczości włoskiej. Stało się to dzięki nagrodzie Nobla, naogół bowiem dotychczas było głucho na szerokiem świecie o twórczości Grazji Deledda.

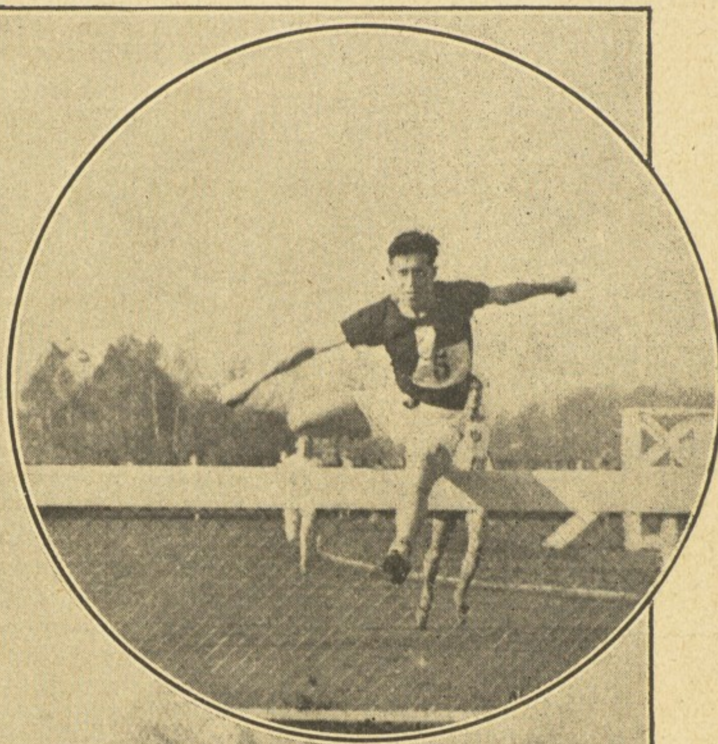
ZE SPORTU



Ex-mistrz Wiednia musiał uznać wysoki poziom piłkarstwa polskiego. — Bramkarz „Hakoahu" Halinas miał ciężką pracę z atakiem Ligi zwłaszcza w drugiej połowie meczu.

Jesień w lekkiej atletyce—to biegi na przełaj. W biegu na przełaj o mistrzostwo Polski na 3 klm. zwyciężył niepokonany dotąd Freyes.—Oto widzimy długodystansowego Mistrza Polski na przeszkodzie w czasie biegu

Fot. R. Walter





Start biegu o mistrzostwo Polski na przełaj na dystansie 9 klm. dn. 30/X 27 r.

BIEG NA PRZEŁAJ O MISTRZOSTWO POLSKI





Zwycięzcy: (od lewej ku prawej) pp. Motyka z Krakowa (trzeci), Szelestowski z Polonji (drugi), Freyer z Polonji (pierwszy) i Sarnecki z „Warszawianki" (czwarty)

Fot. Marjan Fuks

ZJEDNOCZENIE STOWARZYSZEŃ WOJSKOWYCH W WILNIE



Prezydjum uroczystości: 1) biskup Bandurski, 2) Wojewoda Raczkiewicz, 3) gen. Popowicz, 4) prezydent m. Wilna Folejewski Fot. „Mat-Sza"

W RAJU PIŁKARSKIM

Ewolucja — Niepotrzebny respekt — Zwyciężamy — Wisła na tranie ligowym — Ośla ława — Przyszłość tajemnicza i ciemna.

W zeszłym roku oglądaliśmy wiedeński Hakoah w Warszawie na meczu z Polonją. „Dochodowa" drużyna zawitała do nas, znowu sprowadzona przez Legję. Między jedną a drugą wizytą piłkarzy z nad Dunaju upłynęło zaledwie kilkanaście miesięcy. Przez ten stosunkowo krótki okres czasu ileż zmian jednak zaszło w piłkarstwie polskiem!

Zmian dodatnich i ujemnych.

Pobyt Hakoahu w Warszawie nasuwa na temat tej ewolucji najrozmaitsze refleksje.

Rok temu mieliśmy właściwie jedno jedyne boisko sportowe w stolicy, uniwersalną, niezastąpioną Agrykolę, zaniedbaną, z połamanemi trybunami, z wyboistem boiskiem i okropną bieżnią lekkoatletyczną. Myśleliśmy o tem ze wstydem, rumieniąc się przed swojem własnem sumieniem sportowem. Stolica Polski była pod względem warunków rozwoju wychowania fizycznego głęboką prowincją. Piłkarstwo warszawskie, rozklekotane i upadające, nie odgrywało poza sporadycznemi sukcesami prawie żadnej roli. I oto przyjeżdża poprzedzona sławą europejską drużyna żydowska zawodowców wiedeńskich.

Wkraczali na jedyne nasze, mizerne boisko stołeczne, jak tytani, wielcy mistrzowie i znakomici „panowie" piłki nożnej na kontynencie. Biedni, czuliśmy się w obliczu tej jedenastki, zacofani, zahukani niedostatkiem i brakiem najprymitywniejszych warunków i konjunktur sportowych. W niebieskich koszulkach zawodowego, żydowskiego Hakoahu wkraczała do naszej Pipidówki sportowej pewna siebie Europa, pełna zalet i kardynalnych wad, ale posiadająca klasę i gest szerokiego świata. Polonia wychodziła na boisko, jak beznadziejny kozioł ofiarny, który zwiesił głowę i poświęca się dla siły wyższej. Tą siłą były finanse klubowe, które wymagały „reperacji" i głębsza, obliczona na dalszy dystans świadomość, że przez klęski można otworzyć oczy swojemu zaśniedziałemu światkowi na nasze braki, wady i niedomagania. Europa piłkarska, uosobiona w jedenastu graczach Hakoahu, zmiażdżyła amatorskich ulubieńców stolicy, umiejących improwizować grę w piłkę nożną, lecz nie posiadających żadnej metody, klasy i poziomu. Hakoah z uśmiechem dał im serję klapsów w postaci pół tuzina bramek i jak wielki pan schodził tryumfalnie z boiska. W tym momencie zaczęły się dziać dzikie rzeczy. Wielotysięczne tłumy, przybyłe z Nalewek, poprostu oszalały z radości i obłędnego, pół przytomnego entuzjazmu. Dzikie wrzaski, towarzyszące każdemu trickowi zawodowców wiedeńskich i nieudanym, prymitywnym przesunięciom Polonji w czasie gry, zamieniły się po meczu w mroczną, nie mającą nic ze sportem wspólnego orgję szowinizmu rasowego, dającą upust rykom, od których drżała w posadach rozklekotana Agrykola.

Upłynęło od tego meczu piętnaście miesięcy i oto mamy zupełnie inny obraz:

Sport polski a głównie piłkarstwo zrobiło rewolucyjny krok. Powstała liga. Od wiosny, co niedzielę, w sześciu miastach polskich przed wielotysięcznemi tłumami rozgrywają się emocjonujące walki o cenne punkty w tabeli ligowej.

Kilkanaście najlepszych drużyn potyka się z sobą, wypracowując styl i klasę polskiego piłkarstwa.

Na terenie całej Polski budują się w gorączkowem tempie boiska i stadjony. Rząd popiera całą siłą sport. Ilość klubów i czynnych sportowców rośnie z dnia na dzień. Osiągamy dobre wyniki, zaczynamy coraz częściej zwyciężać w spotkaniach z zagranicą.

Do Warszawy zjeżdża znowu Hakoah. Już nie rumienimy się ze wstydu. Mecz odbywa się na nowem boisku Legji, za którem w tyle widać potężne kształty murowanych trybun budującego się olbrzymiego stadjonu.

Polonia krząta się koło swojego boiska. A. Z. S. króluje w pierwszorzędnym stadjonie lekkoatletycznym w parku Skaryszewskim. Mamy nową pływalnię, kryty kort tenisowy, cały szereg dalszych projektów ma pewne szanse realizacji. Inny „duch", nastrój, inna atmosfera.

Rozpoczyna się mecz. Legja, nie mająca nerwowej rutyny w spotkaniach z rozreklamowanemi znakomitościami zagranicznemi, ma sza-

KONKURS STRZELECKI



Inż. Włodzimierz Rudowski ze Sportowego Klubu Strzeleckiego w Warszawie zdobył mistrzostwo Warszawy z broni krótkiej. — Ustanowił nowy rekord polski, bijąc dawny imponującą ilością 16 punktów. — Zdobywa również puhar imienia ś. p. A. Nussbauma. Za nim stoi mjr. Ignacy Bobrowski z 13 pp. z Pułtuska — zdobywca nagrody za strzelanie z broni krótkiej. P. minister Spr. Wewn. gen. Sławoj Składkowskiego. — Wynik 17 — 18.

Fot. Marjan Fuks

loną tremę. Lecz proszę zauważyć jaki postęp. Po kwadransie gry wiedeńczycy, wykorzystawszy zdenerwowanie gospodarzy, strzelają dwie bramki. Mimo to na trybunach słyszy się zdania, że jednak wynik meczu jest trudny do przewidzenia. To znaczy, że w naszej świadomości sportowej oceniamy już należycie wartość jedenastki Legji i nie padamy plackiem przed chwilowym sukcesem gości, który mógł zdetonować publiczność i graczy po tych piętnastu minutach. I rzeczywiście pod koniec pierwszej połowy Legja przychodzi do głosu, a po przerwie ma wyraźną przewagę. Groźny Hakoah wygrywa skromnie 3 : 2. Publiczność jest sprawiedliwsza, niż rok temu i nie wpada w obłędny szał. Zresztą niema już powodu.

Działo się to w sobotę. Następnego dnia, w niedzielę, piłkarstwo nasze zwycięża na całej linji. Tak się złożyło, że tego dnia gościliśmy aż trzy drużyny zagraniczne: Slavię (Brno), Simmoring i Hakoah (Wiedeń).

W Krakowie Wisła, mistrz polskiej ligi, jak na mistrza przystało, rozgromiła wspaniale gości czeskich 8 : 2!

Cracovia pokonała doskonałą drużynę pierwszej ligi wiedeńskiej Simmoring 4 : 1 i — największa sensacja L. K. S. łódzki bije omawiany przed chwilą Hakoah 4:1 (!), przyczem jedyną swą bramkę uzyskują goście z karnego, na 4 min. przed końcem gry!

Takiego dnia nie mieliśmy jeszcze w Polsce od początku naszego piłkarstwa. Trudno świetne wyniki, uzyskane z różnymi przeciwnikami przez trzy drużyny polskie, kłaść na karb szczęścia. Byłaby to już przesadna skromność.

System rozgrywek ligowych podniósł klasę naszego piłkarstwa do poziomu odpowiadającego naszym rasowym talentom w tym sporcie. Oto jedyne wytłomaczenie tych wspaniałych sukcesów. Mamy ligę z ukrytem zawodowstwem, o którem mówi się już głośno. Pielęgnujemy i trenujemy czołowe jedenastki w klubach i możemy się obecnie kusić na zwycięstwa z rutynowanymi profesjonałami zagranicznymi.

Kosztem amatorstwa i pseudoamatorstwa podnosi się foodball nasz do klasy europejskiej i może już niedługo imię piłkarza polskiego będzie otoczone mirem na rynku europejskim. Jednem słowem, wszystko według recepty „Zachodu"....

Wzburzona od wiosny „fala" ligowa wygładziła się w ciszy rozstrzygniętych na arenach boisk sporów, rywalizacji i ambicji piłkarskich.

Ostatnie kopnięcia, ostatnie punkty „wskoczyły" do tabeli i oto mamy już pełny obraz sił, poziomu, woli zwycięstwa, umiejętności i wytrwałości czternastu klubów ligowych.

Na czele „królowa" Polskiej Ligi Piłki Nożnej, krakowska Wisła. Rozsiadła się aż na 40-tu zdobytych punktach. Najtwardsza i najrówniejsza drużyna. Wicemistrzostwa dochrapał się katowicki I. A. C. 36 pkt. dzięki zawieszeniu Pogoni za krnąbrność i brak uszanowania dla edyktów zarządu ligi. Szczęśliwe kluby, które miały jeszcze do rozegrania mecze z Pogonią, otrzymały w podarunku „walkoweski" 3 : 0 i po 2 punkty. Gratka nielada!, 3) Warta 30 pkt., 4) Nieposłuszna Pogoń 29 pkt., 5) Legja 27 pkt., 6) Turyści 27 p. 7) Ł. K. S. 25 p., 8) Polonia 25 p., 9) Czarni 24 p., 10) T. K. S. 24 p., 11) Hasmenea 23 p., 12) Ruch 23 p., 13) Warszawianka 18 p. i 14) Jutrzenka 11 p.

Dawna pogromczyni Cracovii Jutrzenka z „oślej ławy" ligowej, którem jest czternaste miejsce, zostaje wyproszona za drzwi. Kto wejdzie na jej miejsce i jak wogóle będzie wyglądała sytuacja ligowa na wiosnę, tego nikt w Polsce nie przewidzi...

R.

TRYUMF POLSKIEJ EKIPY NA POPISACH HIPPICZNYCH W AMERYCE



Ppułkownik Römmel, kierownik polskiej ekipy, która na popisach hippicznych w Ameryce zdobyła puhar narodów

Fot. Photo-Plat

NASZE LAUREATKI



Fot. Jan Malarski

Halina Marja Dobrowolska, laureatka konkursu „Świata Kobiecego", młoda, utalentowana nowelistka, otrzymuje trzecie już w tym roku wyróżnienie. Odznaczona na paru konkursach, ostatnio otrzymuje pierwszą nagrodę za nowelę „Weronika". Jury, złożone z pp. Kaden-Bandrowskiego, Artura Górskiego i Zofji Nałkowskiej, przyznało jej najlepszy z prac konkursowych styl, dobrą kompozycję i temperament pisarski.

Ze świata filmu

O potrzebie polskiego filmu kulturalno-oświatowego. — Przykład innych krajów. — Czego oczekujemy od Rządu?

Niejednokrotnie już poruszaliśmy sprawę filmu kulturalno - oświatowego w Polsce. Sprawa ta już dawno dojrzała. Dojrzała do tego stopnia, że była przed paroma miesiącami przedmiotem obrad Wszechpolskiego Zjazdu Kinematografistów, który na skutek referatu autora tych uwag p. n.: „Film jako czynnik wychowawczy" oraz wniosku p. inspektora Cieszkowskiego, — uchwalił utworzenie specjalnej komisji kinematograficznej kulturalno - oświatowej. Ten sam Zjazd polecił Związkowi Zrzeszeń Teatrów Świetlnych możliwie w jak najkrótszym czasie zwołać przedstawicieli poszczególnych związków zawodowych i w porozumieniu z przedstawicielami Min. Spraw Wewnętrznych, Min. Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego oraz Władz komunalnych przystąpić do realizacji wspomnianego projektu. Tymczasem cała rzecz utknęła i mimo, iż interesuje się nią gorąco i nasz przemysł kinematograficzny i ministerstwa, ani rusz z miejsca.

A jednak przykład zagranicy jest oczywistym dowodem tego, że projekt ten nie natrafia na tak wielkie trudności, by miał nie wychodzić ze sfery projektów. Pomijamy Stany Zjednoczone i Niemcy, jako kraje o najbogatszej kulturze kinematograficznej w świecie, których wspaniałe osiągnięcia w tej dziedzinie nie mogą być dla nas miarodajnym przykładem. Ale Francja, Włochy, Norwegja, Czechy? We Francji utworzony niespełna przed rokiem „L'Office Cinématographique d'Enseignement et d'Education de la Region du Nord" operuje już dzisiaj 470 aparatami projekcyjnemi w 17.000 szkół i posiada w chwili obecnej 76.740 metrów filmu pedagogicznego, zapomocą którego ilustruje najrozmaitsze przedmioty, wykładane w szkołach gminnych i miejskich. Dzięki subwencji rządowej i inicjatywie prywatnej (wkłady miłośników oraz grup przemysłowych) kapitał tej instytucji kulturalno - oświatowej sięga 300.000 franków. Na czele instytucji stoi poseł Loucheur, były minister; dotychczasowa praca towarzystwa dała znakomite rezultaty, jak tego dowiodło znaczne podniesienie się poziomu tych szkół, w których została wprowadzona metoda korzystania z pomocy filmu.

Jeśli we Francji wspomniany urząd jest gorąco popierany i subsydjowany przez Rząd, to we Włoszech podobny instytut wychowawczo - oświatowy zawdzięcza całkowicie powstanie swe Rządowi Mussoliniego. Instytut ten, pod nazwą „Luce", został podzielony na szereg sekcji (Cinemateca), pracujących zupełnie samodzielnie i obejmujących tyleż zakres ścisłej pedagogji i nauczania szkolnego, co i sprawy wychowania fizycznego, krajoznawstwa i t. p. Uruchomił on paręset kin wędrownych, sprawnie działających i roznoszących dobrodziejstwa oświaty do najodleglejszych zakątków kraju. Toż samo dotyczy kina kulturalno-oświatowego w krajach, w których kinematografja nie tak bardzo znowu prześcignęła naszą, jak w Norwegji i w Czechach.

Jak z tego widać, niezastąpiona wartość pomocniczego nauczania z zastosowaniem filmu została uznana już na całym świecie i wszędzie wydała pożądane owoce. Polska nie może zostawać pod tym względem w tyle. Stan naszego szkolnictwa w porównaniu z krajami Zachodu czyni sprawę tę szczególniej ważną. Trudno tu mówić oczywiście o stworzeniu z miejsca własnej produkcji kinematograficznej kulturalno - oświatowej, ale możnaby przecież na początek korzystać w tym wypadku z materjału, posiadanego przez inne państwa. Materjał ten jest w każdej chwili do naszego rozporządzenia i to po wyjątkowo niskiej cenie. Ponieważ film naukowy zwolniony jest od cła, przeto koszt każdego importowanego do Polski z Francji np. metra filmu kulturalno - naukowego wynosiłby 5 franków, — czyli że operując kapitałem kilkudziesięciu tysięcy zł., moglibyśmy stworzyć sobie pewne skromne fundamenty tego filmu pedagogicznego. Dodajmy, że Min. Ośw. Publ. otrzymało już swego czasu propozycję od firmy „Pathé" zaopatrzenia sieci naszych szkół w specjalne szkolne aparaty projekcyjne, i że firma proponowała wzamian ściągnięcie należności drogą minimalnego opodatkowania szkół.

Ale aby ten niezmiernej wagi projekt został wprowadzony w życie, odnośne ministerstwo, miast rozsyłać okólnik z ankietą, jak to uczyniło przed niespełna dwoma laty, a na który przysłało dodatnią odpowiedź zaledwie trzysta szkół, — powinnoby wprowadzić metodę nauczania przy pomocy filmu drogą ustawy, z początku w szkołach miejskich i w szkołach prywatnych I kategorji, a następnie i w gminnych. Równocześnie władze komunalne powinnyby obniżyć do minimum podatki, nakładane na programy mieszane, w których skład wchodzą filmy oświatowe. Przy obecnem bowiem postępowaniu stan rzeczy przedstawia się rozpaczliwie: kinom nie opłaca się poprostu wyświetlać filmów naukowych, gdyż nawet przy dwuaktowym dodatku nienaukowym (komedyjce np.) pobierany jest normalny 75%-owy podatek.

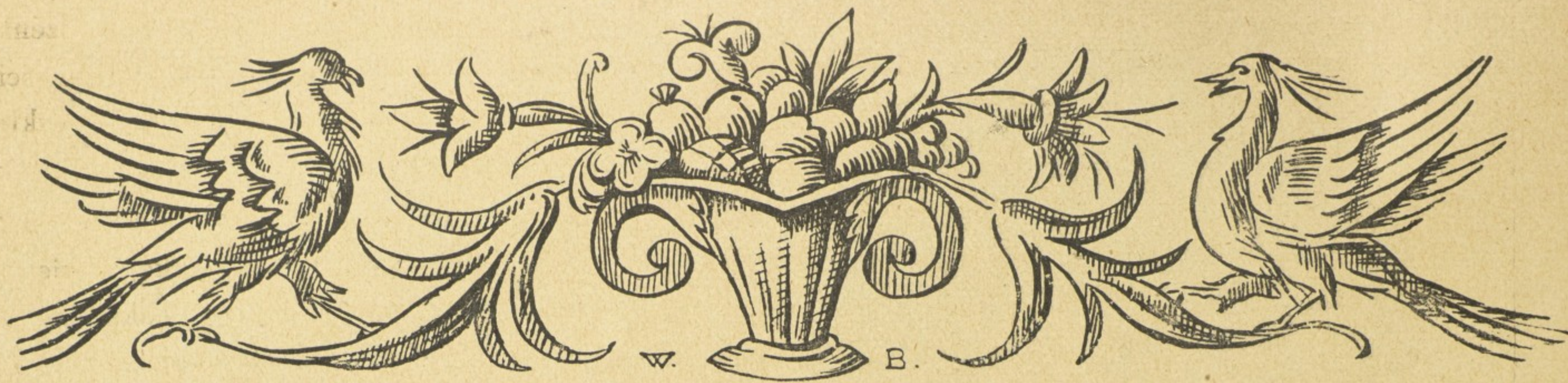
To wszystko jednakże powinno być poruszone przez nasze Związki Zawodowe, — najbardziej nawet usilne nawoływania w prasie nie wystarczą. Związki czekają na inicjatywę Rządu, Rząd czeka na inicjatywę Związków, — a najgorzej wychodzi na tej zabawie w ślepą babkę film kulturalno - oświatowy. A jednak na czele Związku Teatrów Świetlnych, desygnowanego przez Zjazd Kinematografistów do zrealizowania tych projektów, stoi przecież organizator o tak niespożytej energji, jak p. St. Zagrodziński. Mamy niepłonną nadzieję, że dzięki jego inicjatywie będziemy mogli nareszcie poinformować wkrótce nasze społeczeństwo o wynikach pierwszych obrad Kinematograficznej Komisji Kulturalno - Oświatowej.

Nie zapominajmy bowiem, że w r. 1929 ma się odbyć w Lille Kongres Międzynarodowy w sprawie filmu oświatowego. Polski nie może i nie powinno tam zbraknąć.

Anatol Stern

„ZIEMIA OBIECANA" REYMONTA JAKO OBRAZ FILMOWY

Pojawienie się tego obrazu na ekranie Kino - Palace'u było tryumfem nietylko wytwórni „Sfinks" i jej kierownika, dyr. Aleksandra Hertza, lecz wogóle tryumfem wytwórczości filmowej polskiej. W „Ziemi Obiecanej" po raz pierwszy objawia się technika kinematograficzna polska w nieskazitelnej sprawności, pierwszy raz wykazuje własne twórcze pomysły i realizuję ich przeprowadza w formie zgoła doskonałej. W wykonaniu obrazu biorą udział najznakomitsi artyści dramatyczni, ze Smosarską, Solskim i Junoszą-Stępowskim na czele. Smosarska nabrała rozmachu, jako artystka filmowa. Nauczyła się świetnie jeździć konno, kieruje śmiało samochodem. Wdziękiem, powabem i szczerą uczuciowością niewoli zawsze widzów. Solski, o ile nas pamięć nie myli, po raz pierwszy pojawił się na ekranie, przynajmniej w tak wydatnej roli. Odniósł pełne zwycięstwo. Znakomity artysta dramatyczny okazał się niezrównanym aktorem filmowym. Wszyscy inni artyści godnie spełniają swe zadanie, niepospolitą zaś urodą i swobodą ruchów zwraca uwagę młoda artystka, którą hymen przedwcześnie porwał teatrowi. Zdjęcia p. Gniazdowskiego są wysoce artystyczne, aparaty chwytają sentyment krajobrazu polskiego w sposób wzruszający. Nad wszystkiem jednak góruje mocna i swych zamierzeń pewna ręka głównego kierownika, organizatora i reżysera, p. Aleksandra Hertza. On umiał w ten dramat łódzkiej walki o byt tchnąć życie, — potrafił doprowadzić do skutku, bez niczyjej pomocy, bez subwencji, bez pomocy kredytowej, — dzieło wyższej wartości, godne miana filmu polskiego. Szkoda tylko, że urabiacz scenarjusza nie umiał dostroić się do tego poziomu i w ostatniej zwłaszcza części ujawnił zupełną bezradność. Ale te braki i usterki scenarjusza są tak częste w najlepszych niemal obrazach zagranicznych, żeśmy się do nich już przyzwyczaili. „Ziemia obiecana" będzie niewątpliwie szlagierem tegorocznego sezonu.



ROZWÓJ ZASŁUŻONEJ PLACÓWKI

Po adresem publiczności warszawskiej często pada zarzut, że ulega pierwszemu wrażeniu, które wyraża się w zachwycie, aby wkrótce przedzierzgnąć się w obojętność, lub co gorzej w jawną niechęć, równie mało umotywowaną, jak był nim ów nieoczekiwany i nieraz niezasłużony zachwyt, wreszcie, że pociąga ją nowość, która zjednywa sobie jej sympatję, aby niebawem ją utracić.

Baczny jednak obserwator naszego życia wielkomiejskiego, głębiej wnikający w istotę charakteru publiczności warszawskiej nie podziela tej opinji zbyt powierzchownej. Liczne przykłady stwierdzają objawy wpost przeciwne.

Faktem jest niezaprzeczonym, że publiczność warszawska jest nietylko bardzo wymagająca, lecz że trudno jest jej nieraz dogodzić, ale gdy raz przekona się ona, że podjęte zostały wszelkie wysiłki i starania, aby zaspokoić jej wymagania, aby jej żądaniom zadość uczynić, wówczas sprawiedliwie i nader życzliwie ocenia ona te usiłowania, darzy bezwzględnem zaufaniem, nie odmawia poparcia i raz powziętej sympatji tak łatwo nie pozbawia obdarzonego niem.

Tego rzeczywistego uznania i szerokiego poparcia ze strony publiczności warszawskiej doznała spółka, prowadząca znany, bodaj najpopularniejszy zakład restauracyjny w Warszawie „Pod bukietem" przy ul. Marszałkowskiej Nr. 114 (róg ul. Złotej).

Objąwszy ten znany całej Warszawie zakład restauracyjny w 1923 r., Spółka w bardzo krótkim czasie, dzięki postawieniu kuchni restauracji „Pod bukietem" na wysokiem poziomie sztuki kulinarnej, zdołała zyskać sobie liczną i doborową klijentelę. Stali goście restauracji „Pod bukietem" rekrutują się z pośród znawców i smakoszów, którzy śladem wielkiego filozofa francuskiego i znawcy sztuki kulinarnej Brillat - Savarin'a w jedzeniu i piciu, upatrują coś więcej, aniżeli jedynie jedną z funkcji fizjologicznych.

Spółka, prowadząca restaurację „Pod bukietem" od samego początku swego istnienia postawiła sobie za naczelne zadanie, żeby zakład swój oprzeć nie na debicie napojów wyskokowych, lecz na wykwintnej kuchni, uważając to za podstawowe zadanie zakładu restauracyjnego.

Publiczność warszawska, wbrew niesłusznym o niej sądom, o których mówiliśmy wyżej, w zupełności uznała i oceniła te zdrowe i racjonalne wysiłki spółki i obdarza niezmiennie swem poparciem restaurację „Pod bukietem", zapełniając stale jej salony.

Poza wysokimi walorami zdrowej i wykwintnej kuchni, drugim nieodzownym warunkiem powodzenia danego zakładu restauracyjnego jest czystość, sprawność i wyszukana uprzejmość usługi, tego łącznika bezpośredniego pomiędzy wytwórcą a spożywcą. Usługa w restauracji „Pod bukietem" nie pozostawia nic do życzenia i stoi w zupełności na wysokości zadania. Każdy bez wyjątku gość w restauracji „Pod bukietem" może być najzupełniej pewny, że zostanie doskonale obsłużony. Troskliwa dbałość o zadowolenie gościa pod każdym względem jest wybitną cechą tego zakładu.

Wykwintna kuchnia w połączeniu ze świetną usługą zjednały re-

stauracji „Pod bukietem" kolosalne powodzenie i postawiły ją na czoło zakładów gastronomicznych stolicy.

Bezwątpienia też te niezaprzeczone zalety i walory przyczyniły się do tego, że gdy dyrekcja hotelu „Polonia" w Warszawie pragnęła przywrócić swej restauracji hotelowej jej dawną świetność, bez wahania powierzyła prowadzenie jej spółce restauracji „Pod bukietem", na czele której stoi jeden z najpoważniejszych fachowców w tej dziedzinie p. Roch Krzeczkowski.

Gdy stało się wiadomem w Warszawie, że restaurację hotelu „Polonia" objęła spółka restauracji „Pod bukietem", wnet jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej puste w ostatnich czasach piękne, stylowe salony „Polonji" ożywiły się, zaczęły się znów wypełniać doborową publicznością, nie osłabiając przez to bynajmniej frekwencji zakładu „Pod bukietem".

Obecnie elegancka restauracja hotelu „Polonia" stała się modnem „rendez-vous" najwytworniejszych sfer towarzystwa warszawskiego. Codziennie niemal odbywają się w nich uczty i bankiety, wydawane przez sfery dyplomatyczne oraz polskie instytucje urzędowe i społeczne z okazji rozmaitych uroczystości.

Jednocześnie z objęciem restauracji „Polonia" spółka „Pod bukietem" objęła również wytworną, znaną publiczności warszawskiej kawiarnię hotelową „Polonia", z której, odnowiwszy ją z gruntu, zmieniwszy jej urządzenie i poddawszy gruntownej reorganizacji sposób jej prowadzenia, stworzyła pierwszorzędną kawiarnię na wzór najwykwintniejszych tego rodzaju zakładów w Europie. W kawiarni „Polonia" są stale o każdej porze do dyspozycji gości wszelkie dania zimne i gorące oraz napoje i trunki.

Przy tej sposobności należy z uznaniem zaznaczyć, że spółka „Pod bukietem" pierwsza zrobiła wyłom w dotychczasowym systemie, stosowanym przez zakłady restauracyjne u nas, a uniemożliwiającym spożywanie win gronowych, które w Polsce stały się istnym luksusem, dostępnym jedynie bardzo nielicznej warstwie społeczeństwa. Importując bezpośrednio z Francji najwyższe marki win stołowych czerwonych i białych i osiągając przy rozlewie ich tu na miejscu znaczną zniżkę cen, spółka „Pod bukietem" zarówno w zakładzie przy ul. Marszałkowskiej, jak również w restauracji i kawiarni „Polonia" wydatnie zredukowała ceny win, uprzystępniając spożycie tego szlachetnego napoju swoim licznym gościom.

Przy kawiarni „Polonia", od chwili objęcia jej przez spółkę „Pod bukietem", uruchomiona została „Ciastkarnia" (wejście od ul. Poznańskiej), w której odbywa się sprzedaż wszelkich ciast, ciastek, tortów i wyrobów cukierniczych własnego wypieku. I ten nowy dział wytwórczości oparła spółka na jedynym racjonalnym wypróbowanym przez siebie systemie, zapewniającym trwałe powodzenie, mianowicie konkurowaniu jakością wyrobów przy zachowaniu zwykłego poziomu cen.



We wszystkich zakładach, prowadzonych przez spółkę, a więc w restauracjach „Pod bukietem" i „Polonia" oraz w kawiarni „Polonia" koncertują codziennie pierwszorzędne zespoły muzyczne, wykonywujące z dużym artyzmem wysoce wartościowe programy, na które składają się perły polskiej i obcej twórczości muzycznej.

Działalność spółki, prowadzącej tak wybitnie pierwszorzędne restauracje, jak „Pod bukietem" i „Polonia" oraz kawiarnię „Polonia" zasługuje na uznanie jeszcze i z jednego względu. W stolicy naszej, ściągającej coraz więcej przyjezdnych z całego świata, nie posiadamy nadmiaru zakładów publicznych, mogących rywalizować z podobnemi przedsiębiorstwami na Zachodzie, a wiadomo, że one to wywołują pierwsze wrażenie na obcych, na podłożu którego tworzy się dodatnia lub ujemna opinja o kulturze danego kraju.

Restauracje „Pod bukietem" i „Polonia" oraz kawiarnia „Polonia" są właśnie takimi zakładami reprezentacyjnymi stolicy, które zadość czynią wysokim nawet wymaganiom, zadawalają najwybredniejszy gust i smak i posiadają odpowiedni komfort i atmosferę istotnego wykwintu.

Nic więc dziwnego, że spółka „Pod bukietem", poza osiągniętym rozwojem i powodzeniem, które jej stale towarzyszy, zdobyła sobie najcenniejszy ze wszystkich walorów: prawdziwą i wielką sympatję mieszkańców stolicy, umiejących cenić rzetelną pracę i celowe wysiłki.

Jotmal



Wnętrze restauracji „Pod Bukietem" Fot. J. Malarski



Sala bankietowa restauracji „Polonja" Fot. J. Malarski



Wnętrze restauracji „Polonja" Fot. J Malarski



Sala kawiarni-restauracji „Polonja" Fot. J. Malarski

TO I TAMTO

Żebrak dobija się do drzwi kuchennych. Otwiera pani, gdyż Marysia wybiegła do sąsiadki na plotki.

— Szanowna pani raczy opatrzyć biedaka. Dwa dni nic nie jadłem. Proszę o kawałek ciasta...

— Czyż nie lepszy jest chleb do zaspokojenia głodu?

— Zapewne ale dziś są moje imieniny.....

*

W gabinecie dyrektora teatru:

— Rzeczywiście był wakans, ale pani za późno się zgłosiła...

— Jakto zapóźno? Jestem przecież pierwsza, panie dyrektorze...

— Tak... zapewne... Gdyby jednak pani zgłosiła się o jakie piętnaście lat wcześniej, to można byłoby pomówić o angażowaniu.

*

W biurze dyrektora ministerstwa niestałych dochodów:

— Panie dyrektorze, przyszedłem zawiadomić, że wchodzę w związki małżeńskie.....

— Nawet pan nie wie, jak mnie to cieszy....

— Bardzo jest mi miło, panie dyrektorze....

— Bo wie pan, gdy człowiek się ożeni, to chętniej przebywa w biurze....

*

Na proszonej herbatce, niepożądany wielbiciel do sąsiadki:

— Tak chciałbym z panią pomówić przez telefon. Czy mógłbym się dowiedzieć o numer?

— Jest w książce telefonicznej...

— W takim razie proszę o nazwisko...

— Znajdzie pan również w książce....

*

Amerykański urzędnik celny, specjalista od walki z alkoholizmem, znalazł w walizce pewnej starej damy butelkę. Z tryumfem pokazuje ją publiczności:

— A mówiła pani, że nie posiada alkoholu! Nawet starsze damy chcą oszukać urzędników...

— Ręczę panu, że to jest amonjak...

— Amoniak... Piękny amoniak... I tak ślicznie pachnie!...

— Czuje pan to przez korek?..

— I ślinka już mi leci...

Celnik utrącił szyjkę od butelki i pociągnął łapczywie duży haust. Był to jednak, ku jego przykrej niespodziance, amoniak.

Z dziedziny kosmetyki lekarskiej

Jednym z najważniejszych środków miejscowych w leczeniu wągrów jest wyciskanie. Musi być ono jednak wykonywane z zachowaniem pewnych warunków. Po umyciu twarzy należy ją naparować używając do tego płynu o składzie: wody 250,0; boraksu 15,0; wody kolońskiej 10,0". Następnie wysuszyć i przetrzeć spirytusem salicylowym skład którego podałem w zeszłym numerze i dopiero wówczas wyjałowioną „łyżeczką" usuwać czopy łojowe. Po wyciskaniu należy znów skórę przetrzeć spirytusem salicylowym a następnie na noc zastosować dla suchej skóry krem tłusty („Lanolinowy" lub „waselinowy" Malinowskiego) dla tłustej zaś „pureol" lub „Abarid". Na dzień można stosować te same środki po których powinno się pudrować dobrym nie zawierającym szkodliwych składników pudrem. Przyczem nie należy uganiać się za zagranicznemi pudrami. Nasze pudry np. Malinowskiego w zupełności są dobre. Oczywiście, że prócz wyciskania należy skórę masować, by pobudzić mięśnie. W sprzedaży mamy cały szereg reklamowanych środków jakoby usuwających wągry. Jest to tylko reklama, gdyż niestety wągry są tylko objawem cierpienia i jako takowe podlegają prócz zewnętrznego leczenia wewnętrznemu, bez którego nie osiągniemy żadnego rezultatu.

Dr. med. Feliks Rostkowski



Nowoukonstytuowany pierwszy zarząd zatwierdzonego przez władze Syndykatu Fotografów Prasowych Rz. P. Od lewej ku prawej siedzą: pp. Wacław Saryusz Wolski (v. prezes), długoletni fotograf „Świata", Marjan Fuks (prezes), i Karol Pęcherski (v. prezes). Stoją pp.: Jan Malarski (skarbnik) i Jan Drzewiecki (Photoplat) sekretarz. Uroczyste otwarcie Syndykatu wobec zaproszonych gości odbyło się we wtorek, dnia 15 b. m. Fot. Marjan Fuks

Z żałobnej karty

Dnia 15 października r. b. poświęcono pomnik na grobie ś. p. Teresy z Paszkiewiczów Zygmuntowej Słomińskiej. Zmarła ona w Warszawie d. 30 października 1926 r. w sile wieku, bo zaledwie w 37 roku swego pożytecznego życia. Już od wczesnej młodości szerzyła oświatę wśród ludu w Sandomierskiem, mieszkając w Radomiu i tu staje do pracy społecznej. Na wychodźtwie w Mińszczyźnie organizuje ochronki dla dzieci, bierze czynny udział w życiu harcerskiem, współpracuje w pismach polskich w Kijowie, Bobrujsku. Po powrocie do kraju zostaje aresztowana przez okupantów za śmiałe wypowiadanie zdań i żądania uszanowania praw Polski. Proces nie doszedł do skutku, dzięki wypędzeniu niemców.



Ś. p. Teresa Słomińska

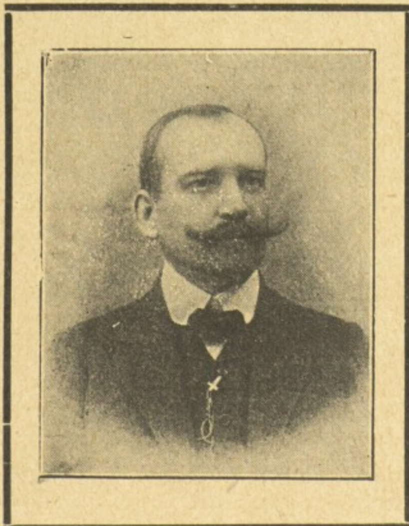
W wolnej ojczyźnie ś. p. Teresa Słomińska organizuje i zakłada Stowarzyszenie Polek. Jej zasługą są oddziały narodowej organizacji kobiet w Puławach, Hrubieszowie, Zamościu, Białej i Biłgoraju.

Nie wyczerpuje to jej energji. Pisze dla dzieci, tworzy komedyjki, bajki, pogadanki, wiersze. Wydała „Zbiorek powinszowań dla dzieci". Za wiersz do „Matki Polki" otrzymała na konkursie w Kijowie pierwszą nagrodę.

Śmierć jej osierociła Zygmunta Słomińskiego, obecnego prezydenta st. miasta Warszawy. Pozostawiła po sobie pamięć idealnej i zacnej żony, dobrej i rozumnej matki, kobiety przejętej nawskroś społecznym duchem.

Uroczystość odsłonięcia pomnika na Powązkach na jej grobie zgromadziła liczny zastęp przyjaciół, znajomych i towarzyszek prac zmarłej.

Dnia 11 listopada r.b. zmarł w Warszawie w 58 roku życia znany działacz narodowy i redaktor „Głosu Ludu", Józef Konstanty Sieciński. Wśród szerokich kół społecznych cieszył się dużą popularnością. Sprawował liczne funkcje: był sekretarzem generalnym wydziału wykonawczego Zjednoczenia Polskich Stowarzyszeń, prezesem Tow. Oświaty Narodowej, wiceprezesem — Związku Polskiej Prasy Prowincjonalnej, sekretarzem Federacji spełnienia Votum narodowego. W ostatnie lata nie było społecznego, zbiorowego czynu, w którymby nie brał udziału. Śmierć ś. p. J. K. Siecińskiego z tej racji zbudziła żal wśród sfer towarzyskich, społecznych i politycznych, wśród których działał zmarły.



Józef Sieciński

Choinka

Piękny poemacik Marji Konopnickiej znalazł nareszcie odpowiedni wyraz graficzny: dała mu go znana artystka, p. Marja Dziewulska, zdobiąc z wielkim smakiem i odczuciem stylu, i wykonując na kamieniu litograficznym. Druku podjęły się zakłady artystyczne Jana Cottego w Warszawie. Całość wypadła niezwykle gustownie i mała ta książeczka stanie się niechybnie ulubionym podarunkiem gwiazdkowym, — podarunkiem, który będzie miał głębsze kulturalne znaczenie, gdyż przynosi istotne walory artystyczne, na rodzimych motywach oparte.

TAM KUPUJCIE!

Echa literackie

CHESTERTON CONTRA BERNARD SHAW

W londyńskim Kingsway - Hall rozegrał się homeryczny pojedynek na słowa między tymi dwoma sławnymi pisarzami. W Anglji takie *debates* są ulubioną zabawą. Inna bierze w nich udział publiczność, niż tam, gdzie walczą na pięści bokserzy. Ale pasjonuje się tak samo.

Przedmiotem rozprawy tym razem był spór, wynikły między dwoma książętami kościoła, biskupem Birminghamu i arcybiskupem Canterbury. Bernard Shaw reprezentował sceptycyzm i myśl wolną. Chesterton — ideały katolickie. Pierwszy — szczupły, suchy, twarz zarośnięta dobrze szpakowatą brodą, oczy żywe, niespokojne, na ustach uśmiech ironiczny,— dowcipy ostre, cięte, złośliwe. Chesterton — dobry olbrzym o pogodnie uśmiechniętej twarzy, łagodny, cokolwiek ociężały. Mówi wolno, jak gdyby z trudnością dobierał właściwe wyrazy, ale to tylko pozór: pod tą powłoką dobroduszności kryje się szermierz niebezpieczny, bo umiejący wśród słuchaczy wzniecić wybuchy śmiechu, a ten, kto ma za sobą śmiech, zawsze bliski jest zwycięstwa.

I tym razem, choć walka została nie rozegraną, — Chesterton swą dobrodusznością i spokojem wielokrotnie wytrącał Shaw'a z równowagi. Dyskusja jednak na chwilę nie zeszła z poziomu wykwintnej kurtuazji, współzawodnicy przesadzali nieomal we wzajemnych komplementach.

Czy u nas takie dyskusje byłyby możliwe? Sądząc z tonu, w jakim prowadzą się polemiki i pisane są krytyki,—chyba nie. Łacniej byłoby urządzać literackie rozprawy — na pięści.

NAJWAŻNIEJSZE WYPADKI UBIEGŁEGO TYGODNIA

SEJM I RZĄD

Wybory do Sejmu i Senatu mają być rozpisane, jak twierdzi pogłoska, w pierwszych dniach grudnia.

Ruch przedwyborczy przejawia się już próbami tworzenia bloków wyborczych. Usiłowania Stronnictwa Chłopskiego spaliły na panewce wobec odmownego stanowiska P. P. S. i „Wyzwolenia".

Rada naczelna P. P. S. przyjęła szereg rezolucji, podtrzymujących opozycję w stosunku do rządu i potępiających komunistyczne hasła dyktatury proletarjatu.

Klub „Piasta" zaakceptował polityczną linję pos. Witosa. Ale zasadnicza rozgrywka partyjna odbędzie się podczas obrad rady naczelnej.

Pożyczka stabilizacyjna wpłynęła już do Banku Polskiego w ogólnej sumie 549.326.477 złotych, po potrąceniu kosztów.

Ograniczenia w obrocie walutowym z zagranicą zostały zniesione rozporządzeniem ministra skarbu. Polska wchodzi powoli w normalne stosunki gospodarcze.

Traktat przyjaźni Polski i Afganistanu podpisali przedstawiciele obu rządów w Angorze. Dalsze posunięcie konsekwentnej polityki zbliżenia z Blizkim Wschodem.

SPRAWY POLSKIE

Wybory do Sejmu gdańskiego przyniosły ogromne zwycięstwo socjalnym demokratom, osłabiając bardzo wydatnie niemieckich nacjonalistów.

Polacy w Gdańsku stanęli wprawdzie solidarnie do wyborów, ale niestety zdobywają mniej mandatów, niż dotychczas.

Nacjonaliści gdańscy na zgromadzeniach przedwyborczych atakowali gwałtownie Polskę, ententę i traktat wersalski. Jeszcze ciągle śni się im niemiecki Gdańsk.

Zakopanem, Rabką i Szczawnicą zainteresowali się szwajcarscy kapitaliści. Może choć w ten sposób piękno naszej przyrody i bogactwa lecznicze znajdą w świecie należyte uznanie.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Rząd niemiecki zapewnia, że stara się utrzymać równowagę budżetową i liczy się z zobowiązaniami odszkodowawczemi. Ale p. Gilbert nie chce wierzyć w gołosłowne zapewnienia.

Traktat przyjaźni Francji z Jugosławją podpisany. Włochy robią dobrą minę, twierdząc, że i one marzą o pacyfikacji Bałkanów.

Prezydent Coolidge zrezygnował stanowczo z powtórnej kandydatury na prezydenta. Na czoło rywali wysuwa się Hoover.

RÓŻNE

Jeźdźcy polscy święcili znowu tryumfy w Ameryce, zdobywając między innemi nagrodami wielki puhar w międzynarodowym wojskowym wyścigu.

W procesie o oszczerstwo, który wytoczył dyrektor Teatrów Miejskich p. Artur Śliwiński redaktorowi „Wiadomości Literackich", p.p. Grydzewski i Słonimski skazani zostali na dwa tygodnie więzienia i karę pieniężną.



Redaktor odpowiedzialny St. KRZYWOSZEWSKI
Drnk GALEWSKI i DAU, Warszawa